



Trybuna Ludu

[Faint, illegible markings]

Druck Nr.
Polizei-Verwaltung
Paris, Frankreich

UCHWAŁA RADY MINISTRÓW

z dnia 14 listopada 1953 r.

RADA MINISTRÓW
z dnia 14 listopada 1953 r.
w sprawie częściowej obniżki cen detalicznych artykułów spożywczych
i przemysłowych, cen potraw i napojów w zakładach gastronomicznych
otwartych oraz niektórych usług

[illegible]

Wskazanie 418:

13. 11. 1944

PREZEN BATH
Bathston B.

Wykaz ważniejszych artykułów podlegających obniżce

Wielkość

PREZES RADY W
Bolesław B.

Artykuły spożywcze

Artykuły artykułów

podlegających obniżce

Z WIELKĄ UWAGĄ

STUDIOWANO 15 LISTOPADA OGŁOSZONA
W PRASIE UCHWAŁĘ RADY MINISTRÓW
O CZĘŚCIOWEJ OBNIŻCE CEN. FOTOREPORTAŻ
Z PIERWSZEGO DNIA ZAKUPÓW PO ZNIŻONYCH
CENACH ZAMIESZCZAMY NA STRONIE 2-3

Fot. „Świat“ — Z. Małek



Rankiem 15 listopada weszła w życie Uchwała Rady Ministrów o częściowej obniżce cen. Barbara Górecka, ekspedientka z „Delikatesów”, uśmiecha się przyczepiając kartki z nowymi cenami: zwiększył się przecież także i jej własny budżet.



W „Delikatesach” na Nowym Świecie przez całą noc trwała praca przy przeliczaniu cen. Dyrektor Korol (pierwszy od prawej), kierowniczką administracyjną Wasilewska i magazynier Kamiński przerachowali ponad 1000 pozycji różnych artykułów.



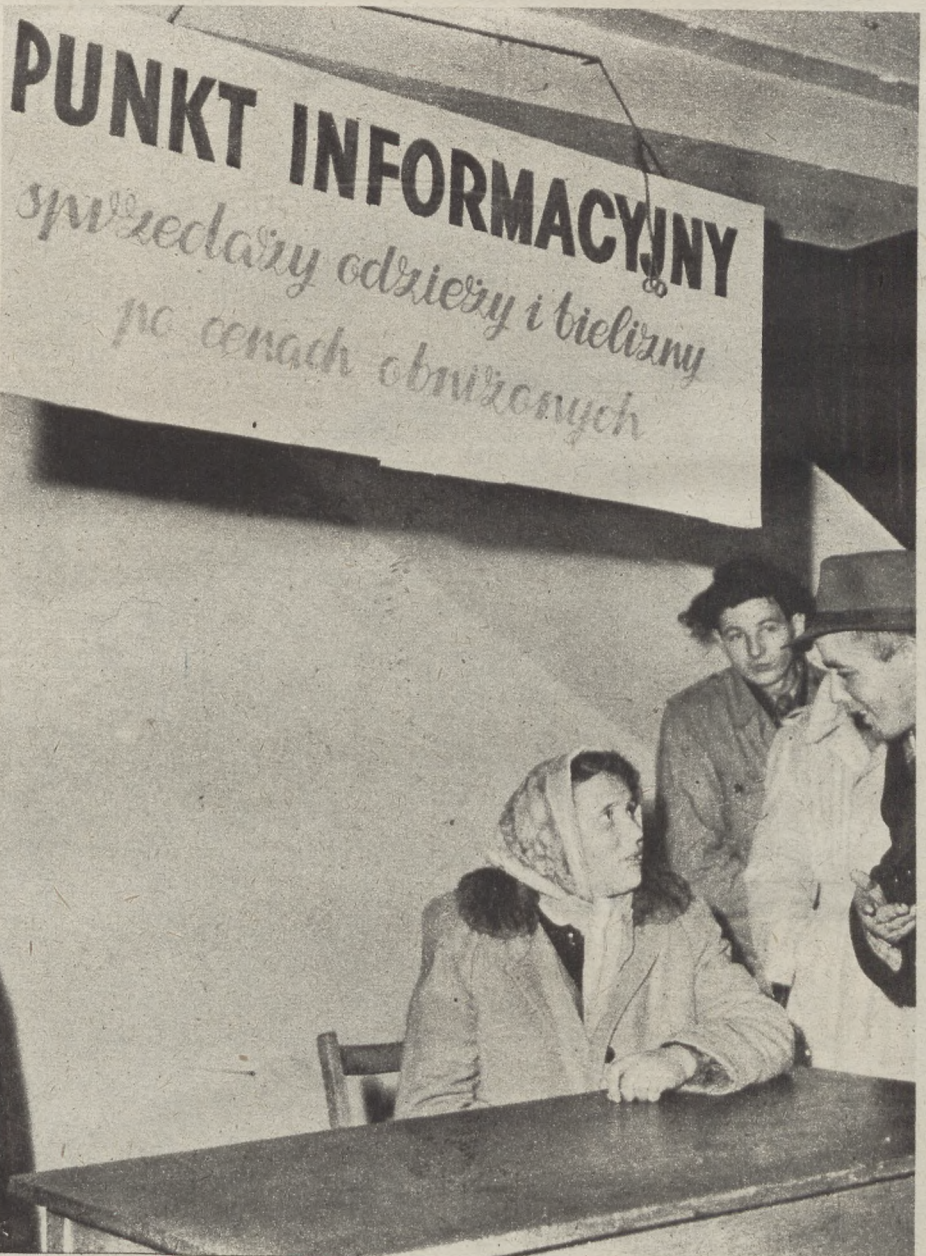
Nylony staniały o 30%. Nie trzeba tłumaczyć, jakie zadowolenie wywołała ta wiadomość wśród warszawianek, dla których nylonowe pończochy są artykułem bardzo pożądanym. A także — rzecz prosta — cieszy się z tego powodu niejeden mąż.

PIERWSZY KROK

Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI



Dwaj przyjaciele — Hieronim Zajdel i Władysław Sikorski, budowniczy Muranowa, od rana rozpoczęli zakupy żywności po niższych cenach. Różnica cen okazała się tak duża, że za oszczędzone pieniądze można było nabyć butelkę wina...



W warszawskim CDT uruchomiono specjalne punkty informacyjne. Ten obywatel pragnie nabyć rękawiczki: dowiaduje się od razu, że staniały o 15% oraz, że można je kupić na III piętrze. To się nazywa obsługa — powiada zadowolony klient.



Także i w tym dziale tłok! Uchwałę Rady Ministrów z 14 listopada poprzedziła zniżka cen, dokonana w drodze sprzedaży poremanentowej. Obie obniżki przyniosły ludności pracującej roczną oszczędność w wysokości 5.400 milionów złotych.



— Naszemu chłopcu przyda się taki wózek — oświadczyli rodzice. Teraz budżet domowy pozwala na nabycie nowego modelu „pojazdu”. Obniżka cen jest pierwszym krokiem do dobrobytu dorosłych i dzieci, całej ludności naszego kraju.

SWIAT

NASZA KRONIKA

POGODNE, listopadowe popołudnie w parku krotoszyńskim tchnie uroczym spokojem. Spokojny szelest złotych liści, opadłych i tych jeszcze zwisających na drzewach, daje poczucie równowagi. Ta jesień uśposabia do głębokich rozmyślań. Mamy jeszcze w oczach piękny obraz ziemi wielkopolskiej, rozciągający się po obu stronach szosy. Jak okiem sięgnąć, wśród wielkich obszarów zasianych pól, wśród sadów i wsi panuje równowaga i powaga ziemi, jakby świadomej swej historyczności, jakby świadomej swej roli kolebki polskości.

Jak daleko okiem nie sięgniesz, nie ujrzyś po obu stronach szosy niczego, co by zakłóciło ten obraz — cichy i dostojny. Chcesz poznać prawdę o tej ziemi, która nie żyje bynajmniej spokojem, idź w głąb krotoszyńskiego parku. Tam w małym domku ukrywa się prawda nie tylko o krotoszyńskim powiecie, ale i wielu innych powiatach poznańskiego województwa i innych powiatach Polski. Zobaczysz tam młodego, zmęczonego człowieka, przed którym stają coraz to inne chłopskie postacie. Każda z nich ma swoisty wyraz twarzy. Jedna cicha i skruszona. Inna hardy i zacięty. Inna świętoszkowaty grymas obłudy. Temat rozmowy jest ten sam.

Chodzi o zboże. Chodzi o niewykonane dostawy obowiązkowe dla państwa.

To miejscowy prokurator przesłuchuje najbardziej opornych, najbardziej zatwardziałych kułaków z powiatu Krotoszyn. Są to ci, w których postępowaniu stwierdzono wyraźną złą wolę, którzy są prowodyrami agitacji zmierzającej do tego, by nie dać państwu zboża, a przynajmniej, żeby go dać jak najmniej. Hardy, zaczepnych odpowiedzi na prokuratorskie pytania niewiele. Więcej obłudy i przesadnej skromności. Tylko spod gęstych brwi błyska nieraz gniewne, nie-nawistne spojrzenie. Tylko ręce raz po raz spoczywające na kolanach zaciskają się w ukrywanej wściekłości.

SA to twarde, drapieżne ręce. Są to ręce bogaczy. Ręce ludzi posiadających po kilkadziesiąt hektarów ziemi, po kilka koni, po kilkanaście sztuk bydła rogatego, po kilkadziesiąt świń. Wyobraźmy sobie tę siłę ekonomiczną na wsi, stojącą na przeciw biedaka wiejskiego. Panowanie ekonomiczne tych kułackich rąk, ucisk i wyzysk kułacki jest jeszcze olbrzymi. W niejedynej wsi walka może nawet jeszcze nie rozgorzała. Gdzieś tam biedota jeszcze nie wyprostowała karków. Dla wielu jeszcze władza ludowa daleko, a kułacka blisko.

Kułacy oddadzą państwu potrzebne mu zboże. Nie pomoże kłamstwo, nie pomoże obłuda, nie pomoże oszustwo. Ludziom w mieście potrzebny jest chleb. Państwo ludowe nie pozwoli, by chleba zabrakło robotnikowi i pra-

cownikowi umysłowemu, i ażeby kułak na dodatek, nie oddając zboża na skup, wzmacniał jeszcze swą siłę ekonomiczną na wsi, siłę wroga państwu ludowemu.

Za oknem zapada zmierzch, w prokuratorskim pokoju robi się szaro. Długo, miesiącami rozmawiano ze wszystkimi chłopami, nie wyłączając kułaków, na temat dostaw obowiązkowych, aż doszło do tych przymusowych przesłuchań. Dostawa obowiązkowa — to prawo. Prawo musi być wykonane. Prokurator pełni swój obowiązek. To walka klasowa. Walka władzy ludowej z mocnymi jeszcze na wsi pozostałościami kapitalizmu. Walka klasowa, walka o zboże toczy się w interesie robotników i innych ludzi pracy miast. Toczy się równocześnie w interesie małorolnych i średniaków ze wsi. Na sprawie dostaw obowiązkowych raz jeszcze zostaje udokumentowana wspólnota interesów pracujących miast i wsi.

Kułak odda państwu, tyle ile trzeba, tyle ile zostało wyznaczone. Nie ukryje ziarna, nie zgnoi w wilgotnych dołach, nie będzie przy jego pomocy, bogacąc się, uciskał coraz bardziej średniaka i biedniaka. Będziemy w mieście mieli chleb, a masa pracujących chłopów wyprostuje karki.

A COŻ znaczy to zboże, o które z kułakiem walczy prokurator ludowy, pełnomocnik skupowy, aktyw powiatowy i gromadzki, zboże o które walczy Partia. Często mówimy walka klasowa. Czy zawsze pamiętamy, o co ta walka — w szczególności w naszych warunkach? O to między innymi, czego dokonano 15 listopada. Dzięki temu, że wieś daje zboże państwu, może być w Polsce chleb tańszy. A kto nie chce zboża oddawać, kto sabotuje dostawy — co robi? Stara się powstrzymać wielki proces rozwoju naszej gospodarki w kierunku szybszej i większej jeszcze zniżki cen. Krotoszyński kułak to wspólny wróg: śląskiego górnika i biedniaka z tej samej, co kułak wsi, z sąsiedniej zagrody.

Sprawa zniżki cen to zagadnienie zarówno zboża jak i rozwoju naszego przemysłu (najpierw ciężkiego, a teraz lekkiego) i wykorzystania wszystkich jego możliwości. To sprawa szeregu niezwykle ważnych elementów naszej gospodarki. Zniżka cen oznacza kierunek rozwoju tej gospodarki.

Wąska uliczka od rynku krotoszyńskiego prowadzi w coraz bardziej gęstniejący mrok. Znów cisza i spokój. Wiemy, że to cisza pozorna i spokój pozorny. W rzeczywistości kraj nasz trwa w gorącej, codziennej, stałej, upartej walce o zwycięstwo dobrego. Pozorny spokój to pozorne szczęście. Droga do prawdziwego szczęścia ludzkiego prowadzi przez walkę. Tylko ludzie wyzwoleni od kułackich zmór, od resztek kapitalistycznego wyzysku i ucisku — będą mogli powiedzieć, że są naprawdę szczęśliwi.

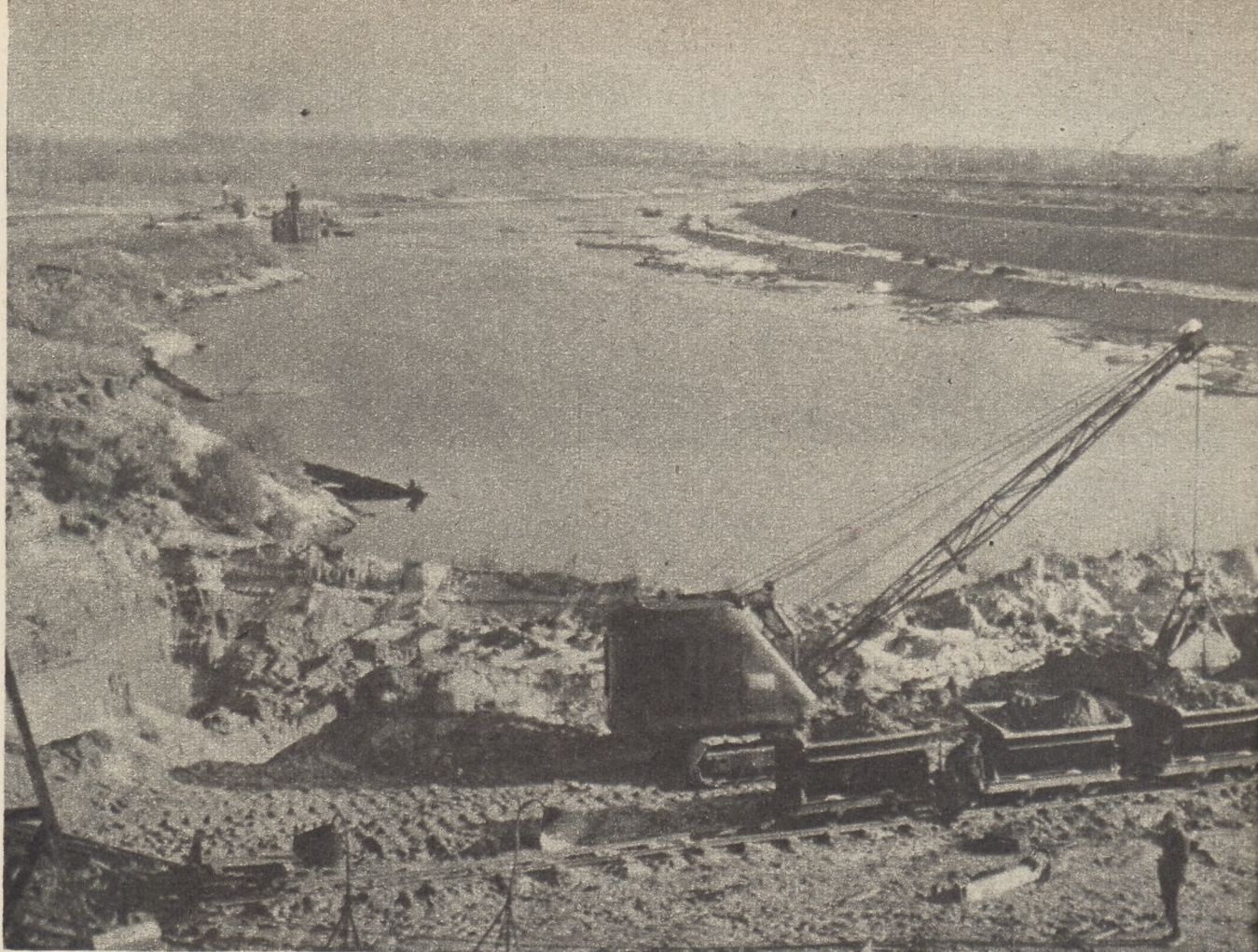
JAN SZELĄG



Zatrudniona przy robotach ziemnych Stanisława Kopcak z pobliskiej wsi, zdobywa na budowie nowy zawód



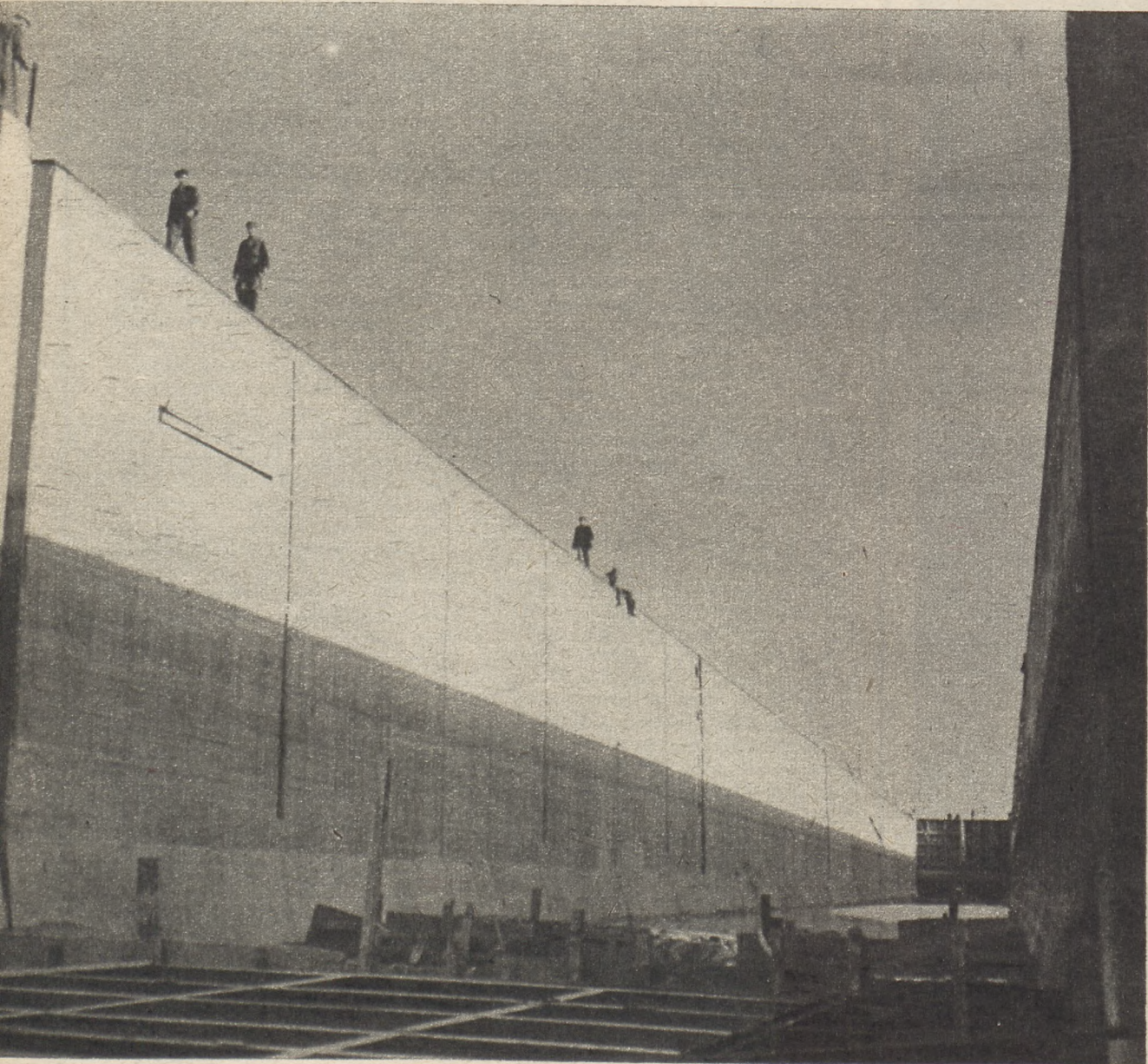
Wojciech Refermat pływał na dalekich morzach. Teraz jako brygadziśta „Mostostalu” montuje wrota śluzy.



Przy budowie progu wodnego, śluzy i jazu pogłębiarka „Mefisto” (w głębi po lewej) usuwa wał ziemny, otwierając drogę na jaz nurtowi Odry. Na pierwszym planie: mechaniczne wywożenie ziemi, którą używa się do

ODRA POPLYNIE

WITOLD NOWIERSKI



Szybko postępują prace przy wykończaniu potężnej betonowej śluzy, która pochłonie już 24 tysiące metrów sześciennych betonu. Na zdjęciu: wewnątrz śluzy wraz ze stalowymi wrotami, które już niedługo przepuszczają będą pociągi wodne, złożone z holownika i kilku tysiąctonowych barek. Usprawnienie żeglugi na Odrze—odciąży kolej

ODRA w swoim górnym biegu bywa rzeką kapryśną. Nieraz w portach tej wielkiej magistrali wodnej potężne barki, naładowane węglem lub cementem, po kilka miesięcy czekają na możliwość spływu. Transport jest zahamowany. Stoją wtedy bezczynnie olbrzymie dźwigi portowe w Szczecinie, a luki oczekujących tam na ładunek rudowęglowców zięją pustką. Huty Śląska na próżno oczekują importowanej rudy, tak niezbędnej do wyrobu szlachetnej stali.

Co stoi na przeszkodzie temu, aby z portów Kanału Gliwickiego, z Koźła lub z Opola, barki ruszyły do punktów przeznaczenia? Po prostu stan wody jest tu zbyt niski: na odcinku od Rędzina poprzez Brzeg Dolny do Nowej Soli brak jest tylko kilkudziesięciu centymetrów, aby wszystkie te barki mogły spłynąć w dół, względnie podciągnąć swój ładunek od Bałtyku aż na przemysłowy Śląsk. Nie mogą naprawić tego stanu rzeczy ani potężne zbiorniki wodne w Otmuchowie i Turawie, ani kilkanaście śluz i jazów w górnym, skanalizowanym biegu rzeki.

Sytuację zmienić może jedynie spiętrzenie wody właśnie na tym naj płytszym odcinku Odry poniżej Rędzina. Tu też, w Brzegu nad Odrą powstaje wielki jaz, spiętrzający wodę, oraz próg wodny ze śluzą, która umożliwi przepływ pociągu wodnego, złożonego z holownika i kilku tysiąctonowych barek. Będzie to pierwsza z wielkich budowli wodnych, jedna z największych inwestycji, przewidzianych w programie Frontu Narodowego na okres przyszłej pięcioletki.

Początkowe prace pochłonęły już 24 tysiące metrów sześciennych betonu. Na zasuwy do jazu, na wrota śluzy i zbrojenia zużyje się prawie tysiąc ton stali, roboty zaś ziemne wymagają będą przekopania i przeniesienia z miejsca na miejsce 1 miliona 400 tysięcy metrów sześciennych piasku, kamieni i mułu! Te wielkie liczby nie dają jednak pełnego pojęcia o ogromie robót, jakie w Brzegu nad Odrą trzeba będzie jeszcze wykonać.

Już teraz góruje nad okolicą kilkunastometrowej wysokości jaz, który zamknie przyszyły zbiornik wody. Nie mniej potężna będzie śluza betonowa.

Fundamenty obu budowli wkopały się głęboko na kilka metrów w przybrzeżny grunt, a cały plac budowy pokrywają rozkopane zwały ziemi, poprzecinane licznymi torami kolejki. Suną po nich naładowane budulcem wagoniki. Na łasze kroczy Smok II, potężna pompa ziemna, która w przepastną swą gardziel wchłania na godzinę 400 metrów sześciennych ziemi. Smok rozbija wał, odgradzający betonową taflę nowego kanału od płynącej obok rzeki. Kilkaset metrów powyżej jazu pogłębiarka „Mefisto” otwiera znów drogę na jaz i śluzę właściwemu nurtowi Odry.



sypania przeciwpowodziowych wałów ochronnych, stanowiących zarazem ściany przyszłego zbiornika wody

WYŻEJ

Zdjęcia: W. SŁAWNY

Początkowo nie obeznanemu z sytuacją obserwatorowi może się wydawać, że na budowie panuje chaos, później jednak spostrzeże, iż zwały ziemi i kamieni, łachy stojącej wody, puste, głębokie rowy i usypiska są fragmentami jednego planu, którego celem jest całkowite opanowanie tak groźnego żywiołu, jakim jest woda. Już w najbliższym czasie będzie można zobaczyć koniec pierwszego etapu tej walki: gdy oba „korki” budowy zostaną ostatecznie rozbite, Odra zmieni koryto i popłynie przez jaz.

W drugim etapie nastąpi zamknięcie zasuw jazu i spiętrzenie wody na dwudziestokilkukilometrowym odcinku rzeki niegdyś najpłytszym; pracę uwieczny uruchomienie śluzy i skierowanie na nią podniesionych już znacznie wód Odry. Potem nastąpi budowa wielkiej hydroelektrowni, która dostarczać będzie prąd dla licznych wsi i miasteczek i dla okolicznych zakładów przemysłowych.

Ta wielka inwestycja zmieni również charakter całej okolicy. Rozległe tereny ubogiej w wodę doliny Śródkiej, leżącej na lewym brzegu Odry powyżej jazu, będą zmeliorowane i systematycznie zasilane nadmiarem wody, znajdującej się w zbiorniku. Niewątpliwie zbiory pólów z obszaru, obejmującego łącznie kilkanaście tysięcy hektarów, wzrosną znacznie, a jednocześnie położone nad rzeką wsie przestaną obawiać się powodzi, niszczącej tu dawniej owoce całorocznej pracy.

Okoliczni chłopci z Urazu, Starego Dworu, z Wałów i innych wsi interesują się budową i są z niej dumni. Często mówią: „...teraz budowa nas wzbogaca, bo zawsze można znaleźć na niej dodatkową pracę, później chronić nas będzie od klęsk i ułatwi gospodarowanie na ziemi”. Załogę budowy w 80% stanowią właśnie ci okoliczni chłopci, autochtoni lub osiedleńcy ze wschodu, którzy już tak bardzo zaaklimatyzowali się tutaj, że z dawną ludnością tworzą nierozdzielalną całość. Rozpoczęli pracę w charakterze zwykłych robotników ziemnych, ale wielu z nich awansowało już na brygadzystów, niektórzy zaś nauczyli się nawet obsługiwać maszyny: kopaczki, betoniarki i bagry.

Próg i zaporę w Brzegu Dolnym to nie tylko wielka inwestycja, która dawać będzie korzyści całej gospodarce narodowej, ale również szkoła dla wielu niewykwalifikowanych synów chłopskich. W okresie przyszłej pięcioletki obejmą już oni kierownicze stanowiska przy wznoszeniu licznych nowych budowli wodnych, od powstawania których uzależniony jest wielki, opracowany już przez Polską Akademię Nauk plan przeobrażenia przyrody w Polsce.

TRZY REJSY W GŁĄB PÓŁNOCY

MORSKA WOLA? Morska Wola? Tu Merkury, ...wzywa Merkury! Uwaga! Odbiór! Idziemy do was. Beczki gotowe do przeładunku...

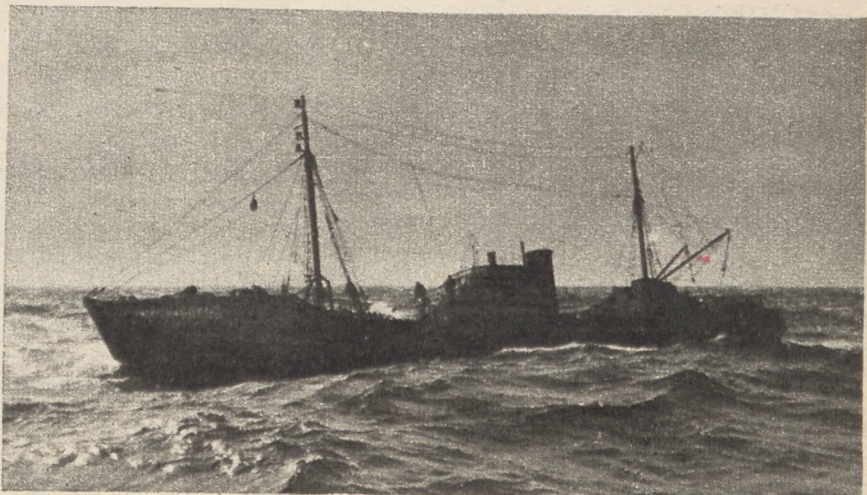
Wiatr dał z niesłabnącą siłą. Marynarz powie — z siłą 4 stopni według skali Beauforta — coś to jednak jest za określenie dla laika... Dał po prostu wiatr, który z ołowianej dali gnał ciemne, splenione fale. Szły na statek z furją, wstrząsały nim gwałtownie; rozbite o kadłub, spływały ku rufie i znów pędziły przed siebie.

— Całą naprzód! — ryczał głos szypra.

Już w pół godziny później ukazała się na horyzoncie sylwetka „Morskiej Woli”. Motorowiec legł w dryf i czekał na „Merkurego”, który podszedł od zawiętrznej pod bom z blokiem, gotowym do odbierania beczek ze śledziami.

„Polish ship” niedawno zjawił się na łowiskach Morza Północnego. Plywali tu zawsze Holendrzy, Niemcy, Duńczycy, Norwegowie, ale począwszy od 1945 roku stocznice nasze wybudowały dziesiątki nowoczesnych ługrów, trawlerów i supertrawlerów, przystosowanych do połowów dalekomorskich. Po raz pierwszy w naszych dziejach powstała silna flotyła rybacka, śmiało zapuszczająca się nawet na wody Islandii i na Morze Barentsa.

Tak wielkie oddalenie od bazy macierzystej w Świnoujściu zmusiło „Dalmor” do wysłania z tą flotyllą „bazy pływającej” — motorowca „Morska Wola”.



Fot. Uklejewski
Trawler motorowy „Gdy 103” mimo sztormu idzie na ławicę śledzi. Za nim popłyną wkrótce statki: niemieckie, norweskie, duńskie, holenderskie i inne.

Wielu jednak wybitnych fachowców morskich wątpiło o możliwości przeładunku ryby na pełnym morzu; odstąpili przecież od tych pomysłów przedsiębiorcy kapitalistyczni, widocznie więc sprawa nie była łatwa.

Na swój pierwszy rejs doświadczalny wyszła „Morska Wola” w roku ubiegłym. Na pełnym morzu zaopatrywała statki rybackie w prowiant, wodę słodką, paliwo, sprzęt łowczy, prasę i pocztę. Warsztaty naprawcze motorowca przeprowadzały remonty uszkodzonych mechanizmów na trawlerach i ługrach. Z przeładunkiem jednak istotnie nie szło najlepiej.

Zimą zastosowano doświadczenia słynnej flotylii murmańskiej. Największe niebezpieczeństwo dla statku rybackiego przedstawia zawsze podejście do statku-bazy. Dla pełnego bezpieczeństwa wykonano więc specjalne, elastyczne odbijacze i opracowano szczegółowy „protokół” przeładunku. Doświadczenia rybaków radzieckich okazały się zbawienne. Śmiało więc wyruszone już w drugi rejs, w maju roku bieżącego. Z „Morską Wola” wyszły na Morze Północne liczne statki rybackie. Była to więc cała ekspedycja.

Już pierwsze rezultaty przeszły najśmielsze oczekiwania. Dzięki odbijaczom przeładunek na pełnym morzu mógł odbywać się bez przeszkód. Zdał też egzamin pomysł ładowania śledzi w beczki 90-kilogramowe, które ze statków ry-

backich przenoszono bomem na statek-bazę. W tych warunkach załoga „Morskiej Woli” już po 40 dniach rejsu mogła zameldować o wykonaniu swego planu w 128%.

Trzeci rejs, rozpoczęty w dniu 14 lipca, był najpomyślniejszy. Na łowiska Morza Północnego wyszła również flotylla superkutów „Arki”. „Morska Wola” wskutek dobrych połowów obok Fladen Ground i Foren Deep musiała przeładować o 1000 beczek więcej niż w czasie poprzedniej ekspedycji. Ale mimo to zadanie wykonane zostało na 15 dni przed terminem.

Załogi pracowały z prawdziwym poświęceniem. W czasie połowu nie spały więcej niż kilka godzin na dobę. Podczas przeładunku nie odpoczywały wcale.

Prawie przez cały czas połowów wiały ostre, burzliwe wiatry. Ołowiane niebo zlewało się z sinymi, ciężkimi falami morza. Małe statki rybackie ledwie były widoczne wśród tego ogromnego obszaru, nieobjętego ani głosem, ani wzrokiem. Gdzieś z mroku dochodziły jednak do anteny radiotelegrafu wezwania:

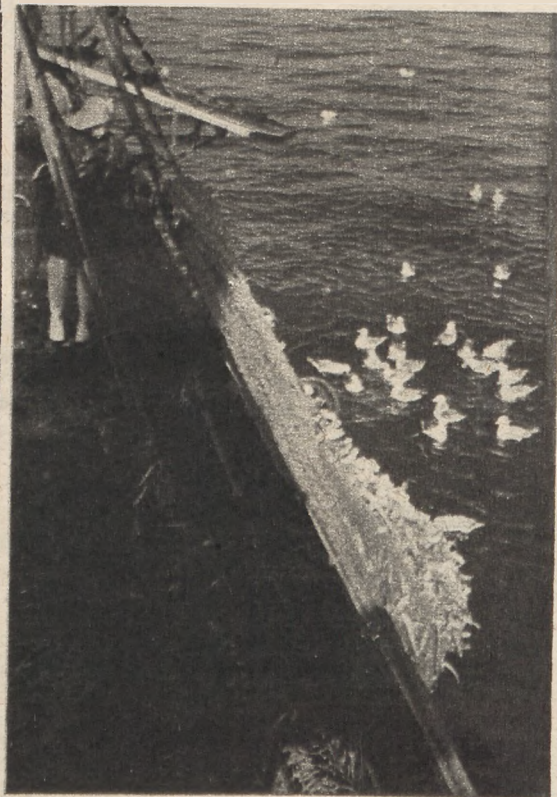
— Hallo, hallo... Morska Wola, Morska Wola? Tu superkuter Arka! Tak, Arka! Odbiór. Idziemy do was. Beczki gotowe do przeładunku...

Nie brakło jednak oczu, które przez lunetę pilnie śledziły wszystkie ruchy naszej flotylii. Starzy, doświadczeni rybacy niemieccy, holenderscy, duńscy i norwescy przekazywali sobie wiadomości: „Polish ship” płynie. Nord West 4...

Wkrótce w tym samym kierunku płynęły i inne statki, gdyż utarło się przekonanie, że gdzie idzie „Polish ship”, jest najwięcej ryby.

Może i było w tym wiele prawdy. Tegoroczne ekspedycje naszej rybackiej flotylii dalekomorskiej dostarczyły bowiem prawie dwa razy więcej ryb, niż wszystkie połowy morskie z 1938 roku.

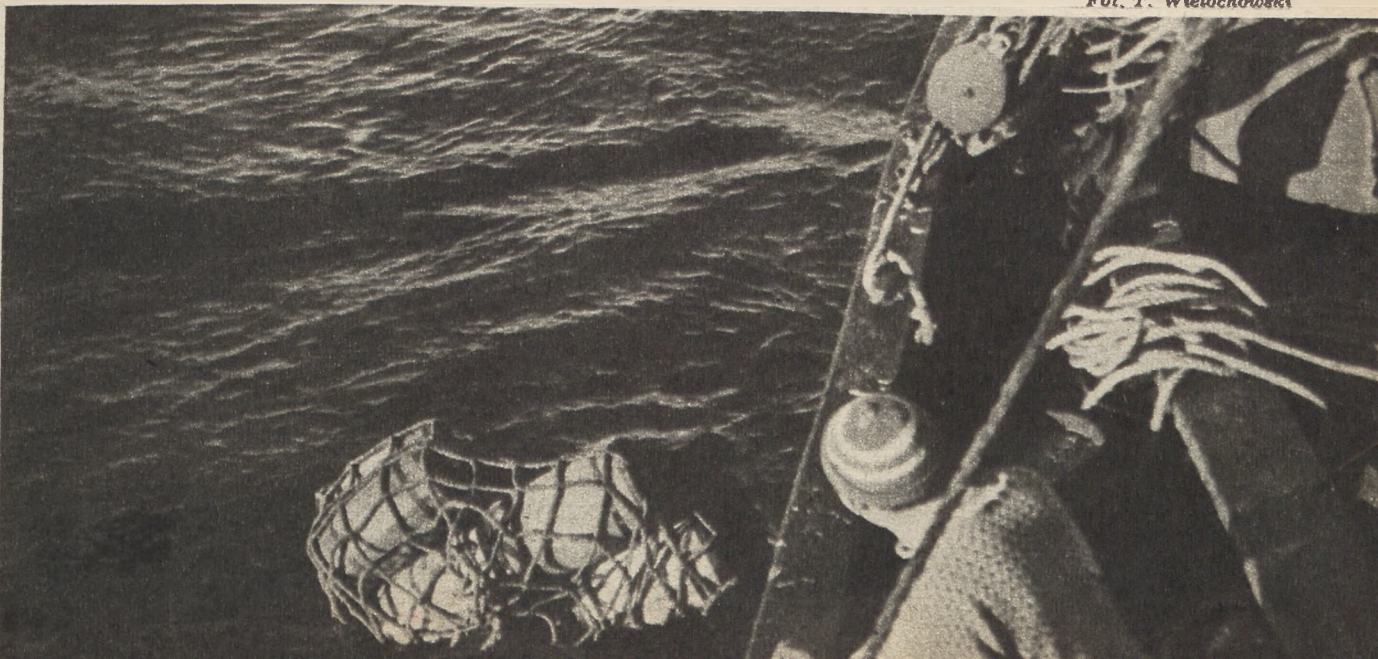
ROLAND KIEWLICH



Fot. K. Komorowski
Winda zainstalowana na trawlerze podnosi na pokład wózek pełen śledzi. Na fali przysiadły mewy, czekając na zdobycz. One też lubią śledzie...

Oto pomysł racjonalizatorski marynarzy „Morskiej Woli”: za chwilę załoga superkutra „Gdy 184” wylowi, powiązane siatką przeładunkową, beczki z żywnością. W ten sposób zaopatruje się obecnie statki rybackie.

Fot. T. Wielachowski





WIELKIM POWODZENIEM W WIEDNIU CIESZY SIĘ SZTUKA ADAMA TARNA „ZWYKŁA SPRAWA”.

WIEDEŃSKI „SEZON”

EWA FISZER

„...Dwudziestolatnia, ładna, dobra figura, szkoła handlowa, znajomość angielskiego, przyjmie k a ż d a pracę”.

„...Fachowiec — korespondent, długoletnia praktyka (Fabryka parawanów, Biuro techniczne, Marconi w Warszawie), znajomość techniki i buchalterii, języki: polski, węgierski, rosyjski, francuski, przyjmie k a ż d a posadę”.

„...Z przyczyn od nas niezależnych nie możemy się pobrać i żyjemy w konkubinacie. Czy w razie jego śmierci mam prawo zostać w sublokatorskim pokoju, w którym mieszkamy, a który oficjalnie jest wynajmowany przez niego?”

„...Jesteśmy jedynymi spadkobiercami naszej matki. Czy właściciel mieszkania, w którym nasza matka wynajmowała przed śmiercią pokój,

ma prawo odmówić nam wstępu do mieszkania? Jesteśmy bez dachu nad głową, prosimy o szybką poradę”.

Oto jak wyglądają ostatnie strony dzienników wiedeńskich: dział ogłoszeń i porad prawnych to smutny komentarz do reakcyjnej polityki rządu austriackiego.

W rezultacie tej polityki tylko w Wiedniu rejestr bezrobotnych sięga 124 tysięcy osób, z których 2/3 nie pobiera żadnej zapomogi. Dane te nie obejmują młodzieży, której tysiące wstępują co roku w życie nie mając zawodu, nie znajdując możliwości pracy. Dane te nie uwzględniają starców i inwalidów, przed którymi tylko jedna droga stoi otworem — wyciągnąć w żebrzącym geście rękę.

Ze zdziwieniem więc wzięłam do ręki „Neue Wiener Tageszeitung” z 3 października. Wielkie czcionki tytułu na

Korespondencja własna „Świata”

pierwszej stronie krzyczą: „Najwspanialszy sezon od 45 roku!” „Wiedeńscy nie pamiętają równie pomyślnego lata”.

I dopiero trzeci podtytuł wyjaśnił sprawę „2.246.590 nocy spędzili w tym roku w naszym kraju zagraniczni turyści”. Tak, turyści... Z zachodnich Niemiec, z Francji, z Ameryki...

Co prawda turyści z Ameryki nie zajmują pierwszego miejsca w statystyce nocy spędzonych przez cudzoziemców w Austrii. Ale nie przypadkiem, śledząc bacznie witryny księgarskie, widzi się wszędzie stosy amerykańskich powieści kryminalnych, które kosztują dużo, dużo taniej (różnica cen wynosi przeciętnie od 50 do 75%) niż książki wydane w Austrii.

Ale nie przypadkiem wspaniała galeria malarstwa muzeum wiedeńskiego objechawszy Europę Zachodnią i Stany Zjednoczone, od chwili powrotu ogłasza na jest jako „Wystawa Austria—Ameryka”, a dopiero podtytuł wspomina, że są to „Skarby Wiednia”.

Ale nie przypadkiem kina wiedeńskie wyświetlają obok filmów zachodnio-niemieckich wyłącznie niemal amerykańskie. A wstęp do kina, w którym zresztą zajęte są zwykle tylko tańsze miejsca, kosztuje dwukrotnie mniej niż wstęp do muzeum, zamykanego — nawiasem mówiąc — na niedzielę!

I nie przypadkiem w galerii malarzkiej Akademii Sztuk Pięknych, zawierającej, począwszy od Ołtarza Hieronima Bascha, a skończywszy na portretach Rembrandta, więcej arcydzieł malarzskich, niż muzea narodowe wielu krajów — nie widać niemal studentów, dla których przede wszystkim przeznaczona jest ta galeria.

Zabłąkani w ślepej uliczce abstrakcyjnego malarstwa, nieciekawi arcydzieł dawnych mistrzów, odrzucając wielką tradycję malarstwa realistycznego, znajdują nabywców swoich obrazów — w amerykańskich turystach.

A jednocześnie opowiadano mi tragiczną historię jednego z najbardziej utalentowanych młodych malarzy, Rudolfa H., którego obrazy nie znalazły nabywców.

Na pierwszą (i jedyną) zorganizowaną przez rząd austriacki po wojnie wystawę, reprezentującą dorobek malarzski wszystkich grup artystycznych w Austrii, Rudolf H. przysłał obraz surrealistyczny pt. „Balet”, przedstawiający coś w rodzaju tańca szkieletów. Obraz spotkał się z wielkim uznaniem burżuazyjnych krytyków — no i amerykańskich klientów.

Ale Rudolf H. wkrótce potem zerwał z surrealizmem — mimo pochwał i zachęt. Dlaczego? Widziałam dwa jego płótna. Obraz pt. „Bezdomne dzieci” i świetny realistyczny portret żony znanego postępowego poety i krytyka, Ernsta Fischera, portret uderzający siłą wyrazu, świetnym opanowaniem rzemiosła malarzkiego, wyczuciem kolorów, nawiązujący do tradycji portretów mi-



Fragment sztuki Tarna, wystawionej przez zespół Radzieckiego Ośrodka Informacyjnego. Dyrektor Rogers (Ernst Neuhardt) i miss Roberts (Lydia Hill).

strzów holenderskich, a jednocześnie naprawdę głęboko współczesny.

Trzy lata temu Rudolf H. krytykowany i przemilczany na zmianę przez uwielbiające go dawniej wiadome „koła”, znalazł się bez środków do życia. Doprowadzony do rozpacz bierze udział w kradzieży złotych obwódek pieczęci archiwalnych dokumentów. Zostaje przedterminowo zwolniony z więzienia z powodu stanu zdrowia: gruźlica oczu!

Tragiczne historie młodych Austriaków można opowiadać bez końca.

Można by mnożyć przykłady głodujących chłopów uprawiających winnice, którzy nie mogą sprzedać zbiorów, bo Amerykanie nie tylko uniemożliwiają Austrii eksport wina, ale zmuszają ją do importowania win włoskich i francuskich.

Zarówno w dziedzinie gospodarczej, jak kulturalnej i obyczajowej widać w polityce rządu wpływ amerykańskich „turystów”.

Ale oprócz rządu istnieje lud austriacki.

Nie przypadkiem wiosną tego roku Wiedeń widział strajki i demonstracje studentów, pozbawionych możliwości wyższych studiów.

Nie przypadkiem przed kinami wiedeńskimi, wyświetlającymi filmy amerykańskie, odbywały się protestacyjne demonstracje matek: „W obronie dusz naszych dzieci”.

Nie przypadkiem, kiedy w wypożyczonej sali kinowej amatorski zespół Radzieckiego Ośrodka Informacyjnego wystawił sztukę Tarna „Zwykła sprawa”, już na godzinę przed przedstawieniem publiczność czekała na ulicy wokół kina.

Nie przypadkiem każdy niemal spotkany przeze mnie Austriak, niezależnie od swych przekonań politycznych, wypytawał zazdrośnie, jak wygląda odbudowa Warszawy, wspominając z goryczą, że opera wiedeńska odbudowuje się już... siedem lat.

Tak, ludność zdaje sobie sprawę ze „wspaniałości wiedeńskiego sezonu”.

Paula Wessely i Ernst Deutsch w sztuce Terence Rattigana „Głębia”.



SAMOBÓJSTWO FRANCJI W TUNISIE

Korespondencja własna „Świata“

STETSON KENNEDY

2 WRZEŚNIA 1953 ROKU nastąpiła zmiana na stanowisku generalnego rezydenta Francji w Tunisie. Ustępujący gauleiter, Jean de Hauteclouque, odznaczony został za swe „zasługi“ dla Comité des Forges — francuskiego związku ciężkiego przemysłu — wielkim krzyżem oficerskim legii honorowej. Następcą jego został Pierre Voizard, w okresie międzywojennym dowódca oddziałów francuskich w Tunisie, po wojnie zaś „administrator“ francuskiej strefy okupacyjnej Niemiec. Oficjalny komunikat głosił, że zmiana na stanowisku generalnego rezydenta ma na celu „zapewnienie większej wolności narodowi tunetańskiemu“. Jak sobie francuscy kolonizatorzy wyobrażają tę „zwiększoną wolność“ świadczy fakt, iż dokładnie w trzy dni po objęciu urzędowania przez nowego namiestnika trybunał wojskowy w Sfax skazał 64 patriotów tunetańskich na kary wieloletniego więzienia.

Voizard nie tak zresztą wcale, iż będzie wiernie kontynuował politykę terroru, prowadzoną przez swego poprzednika. A premier Laniel oświadczył przecie, iż „największą zasługą generała Hauteclouque było uspokojenie Tunisu“. „Uspokojenie“, które polegało na tym, iż w ciągu ostatnich dwóch lat nie było prawie tygodnia bez krwawych „evenements“ — „wypadków“, jak kolonizatorzy nazywają bestialskie mordowanie setek niewinnych mieszkańców Tunisu,

rozwalanie czołgami nędznych lepianek miejscowej ludności, masowe aresztowanie i katowanie patriotów. W chwili opuszczenia Tunisu przez generała Hauteclouque, w więzieniach przebywało — znowu według danych oficjalnych — przeszło 2000 więźniów politycznych, a drugie tyle ginęło w morderczym klimacie obozów koncentracyjnych, założonych przez Francuzów w głębi pustyni.

Od czasu przybycia do Tunisu francuskiego „obroncy wolności“, Voizarda, liczba więźniów stale wzrasta. Przed paroma dniami 54 mieszkańców Kartaginy — aresztowanych przez francuskich kolonizatorów w charakterze zakładników — skazanych zostało przez trybunał wojskowy na śmierć lub dożywotnie więzienie. A „na powitanie“ nowego gauleitera, żandarmeria francuska zamordowała Hedo Chakera, wybitnego działacza tunetańskiego, członka kierownictwa partii Neo-Destour. „Zabójców nie udało się odszukać“ — głosił oficjalny komunikat. Morderstwo to jest już drugą zbrodnią tego typu popełnioną przez imperialistów francuskich. Kilka miesięcy temu zabito w podobny sposób jednego z przywódców tunetańskiego ruchu związkowego, Ferhat Haszed'a.

W odpowiedzi na terror francuskich kolonizatorów naród tunetański wzmacnia walkę narodowo-wyzwoleńczą. Patrioci tunetańscy prowadzą zdecydowaną kampanię unieszkodliwiania zdrajców i kolaborantów. W ciągu ostatnich

miesięcy zlikwidowano 22 szeików i innych „szanownych współpracowników“ francuskich okupantów. Gdy rozeszła się wiadomość, że generał Hauteclouque zamierza usunąć Beye Tunisu i zastąpić go francuską marionetką — Azzeddin Beyem patrioci tunetańscy przystąpili do akcji. Zdrójca własnego narodu, Azzeddin Bey, zakończył 1 lipca swe życie z kulą w brzuchu. Gdy z kolei Sadek Bey wszedł w konszachty z Voizardem, otrzymał on wymowny list: „Nie narażaj się. Francuzi nie potrafią obronić swoich przyjaciół“.

Zdecydowana postawa patriotów tunetańskich pokrzyżowała plany francuskich „obronców wolności“, którzy chcieliby w Tunisie powtórzyć gangsterski zamach stanu, jakiego dokonali w Maroku. Najwyższa instytucja Islamu, tysiącletni uniwersytet Al-Aksar w Kairze, ustami swego rektora, Abdelatif Diraza, wezwał muzułmanów całego świata do powstania przeciw terrorowi francuskich kolonizatorów.

Jak wykazały doświadczenia historii, skrytobójstwami, terrorem i represjami nie da się zahamować sprawiedliwej, wyzwolenieckiej walki narodu. Ostatnie zbrodnie francuskich kolonizatorów wywołały wzmożenie walki, demonstracji i strajków narodu tunetańskiego. Jak oświadczył Salah ben Jousseff, wygnany z kraju przez Francuzów minister tunetańskiego rządu, „przez swoje postępowanie Francja popełniła w Afryce Północnej samobójstwo“.



Straszną jest nędza tunetańskiego ludu. Gnębieni przez francuskich kolonizatorów mieszkańcy Tunisu chronią się w niedostępnych okolicach pustyni.



Przyjaciel francuskiego rezydenta, zdrójca własnego narodu, Azzeddin Bey, który zastrzelony został przez patriotów tunetańskich w lipcu 1953 roku.



Od czasu przybycia do Tunisu francuskiego „obroncy wolności“, Voizarda, liczba więźniów stale wzrasta. Przed paroma dniami 54 mieszkańców Kartaginy skazanych zostało przez trybunał wojskowy na śmierć lub dożywotnie więzienie.



Francuski gauleiter, de Hauteclouque zaprowadził krwawy terror w Tunisie.

MURARZE I OBERPOLICMAJSTER

TADEUSZ RADWANSKI

ORGANIZACJI robotniczej podówczas, w roku 1903, wśród murarzy warszawskich nie było. Wprawdzie zarówno tzw. czeladnicy murarscy, jak i część robotników pomocniczych — „terminatorzy” — byli zapisani do cechu i nominalnie posiadali w nim swą reprezentację, jednakże w tym zawodzie jeszcze mniej niż w innych mogła ona odegrać rolę obrońcy interesów robotniczych.

Mimo to strajk robotników budowlanych Warszawy latem 1903 roku nie był ruchem żywiołowym. Przeciwnie, był on planowo przygotowany i dobrze zorganizowany przez warszawską organizację partyjną Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy.

Ja o tych przygotowaniach, aczkolwiek byłem już „starym” (od roku 1900) członkiem Partii — nie wiedziałem. Nie mogłem i nie powinienem był wiedzieć o nich. W ówczesnych warunkach konspiracyjnych byłoby to wprost grzechem śmiertelnym, gdyby mi ktoś z towarzyszy, zaangażowanych w tych przygotowaniach, cośkolwiek o nich zakomunikował.

Nie wygadał się o nich przede mną towarzysz „Grucha” pomimo całego zaufania, jakim mnie darzył od chwili, kiedyśmy się ze sobą zapoznali.

Miałem wśród murarzy innego jeszcze serdecznego przyjaciela i towarzysza, Dziutka (Zdzisława Walca), lecz nie należał on do Partii.

Przez Dziutka poznałem niegorzej warunki pracy i życia — o ile można to było nazwać życiem — w zawodzie murarskim, i byłem zdania, że warunki te dawno dojrzały do walki strajkowej. Dziutek był tego samego zdania, tylko jeszcze mocniej zaakcentowanego uczuciowo. Różniliśmy się z nim pod tym względem, że on już od maja twierdził, iż na budowach „pachnie strajkiem”, podczas gdy ja miałem co do tego pogląd raczej pesymistyczny.

Swoją drogą ilekroć przechodziłem obok jakiegoś rusztowania wznoszonego domu, pilnie uważałem, czy nie spostrzegę czegoś znamiennego. Miałem zresztą po temu, obok zainteresowania społeczno-politycznego, również motyw osobisty.

Byłem wówczas współpracownikiem tygodnika „Głos”, który pod redakcją Jana Władysława Dawida stał się pismem o tak wyraźnym zabarwieniu socjalistycznym, jak to tylko było możliwe w dławiącym ucisku prewencyjnej cenzury carskiej. Między innymi drukowano w „Głosie” moje wierszowane „bajki” na tematy aktualne. Otóż kiedyś mój towarzysz partyjny i zarazem długoletni przyjaciel z ławy szkolnej, Stasiek Bobiński, polectał moją dumę początkującego pisarza proletariackiego opowieścią o tym, jak przechodząc obok budowanego przy ulicy Smolnej domu w porze obiadowej usłyszał z rusztowania głośnie wybuchy śmiechu. „Patrzę — mówił — z czego się oni tak śmieją, i widzę, że czytają jakieś pismo. Słucham więc, aby zmiarkować, co ich tak ubawiło. No i wyobraź sobie Tadek, jeden z tych murarzy nie czytał, lecz wprost wspaniale deklamował twoją bajkę z ostatniego numeru „Głosu”.

Przyznam się, że następnie, ilekroć mi się zdarzało przechodzić w porze obiadowej Nowym Światem, zawiąłem w ulicę Smolną, ku tej historycznej (dla mnie) budowie. Pewnego dnia wynurzywszy się z cienkiej kieszki ulicy Smolnej, gdzie, ku memu zdziwieniu znalazłem bezludne rusztowania budowanego tam domu, spostrzegłem w barze narożnym obok siebie gościa wyglądającego mi stanowczo na murarza, choć był, w dniu i godzinach roboczych, w zwykłym ubraniu marynarkowym. Był to właśnie towarzysz „Grucha” (Ignacy Gruszkowski). Nie odstępiał od zasad konspiracji, nie powiedział mi nic, choć myślałem, że w owej chwili musiał go język zaswędzić porządnie. Było się bowiem czym pochwalić, jak się przekonałem w kilka minut później.

Wyszedłszy z baru na lipcową południową spiekotę, wstąpiłem na szklaną „roztrzępnięcą” do mleczarni Nadwodrzańskiej — mieszczącej się wówczas w tym miejscu, gdzie obecnie znajduje się gmach Banku Inwestycyjnego i część biur Stołecznej Rady Narodo-

wej — w ładnie zadrzewionym, sporym ogródku na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata. Tu, ku memu zdumieniu, spotkałem Dziutka, również w odświętnym stroju marynarkowym.

„Co u licha? Czy cię wyleli z roboty? Czy też może twój Martens i Daab (była to wielka firma budowlana, w której w tym roku pracował) zbankrutował?”

„Jeszcze nie zbankrutował — odpowiada mi — ale łatwo może zbankrutować jeżeli nam prędko, psia jego... nie ustąpią... Cóż ty, nic nie wiesz? Strajkujemy!.. A nie mówiłem ci, że tak będzie, już ładne kilka tygodni temu?”

„Gadajże co i jak!”

„Nie mam czasu. Opowiem ci wieczorem. Wpadnę do ciebie. Teraz muszę lecieć na Pole Mokotowskie, kawał drogi, co się zowie”.

„Pójdę z tobą”.

„Lepiej nie chodź, kiedy cię nie posyłają. Nas tam na razie przynajmniej nie zaczepiają, a choćby nawet, to co nam zrobią? Dziecko w kieszeni?... Ale ciebie mogliby zdrowo zahaczyć — niby to skądś się tu wziął aż na fortach, ty, student? Skąd wiedziałeś, że tu coś będzie? Jasne — partyjny”.

Racja była przekonująca. Trzeba było „wziąć na wstrzymanie” do wieczora. Pomaszerowałem do domu i warowałem tam, nie wychodząc nigdzie na wypadek, że może wpaść do mnie ktoś z jakimś zleceniem do Partii. (Sam, oczywiście, nie poszedłem na kwaterę partyjną. Było by to przeciwne zasadom konspiracji).

Dziutek przyszedł do mnie późnym wieczorem — zmachany, jakby ze trzy szczyty jednym ciągiem odwalił. „Zganiałem się, jak wszyscy diabli. Bo to po zakończeniu zebrania trzeba było jeszcze poobłatać te i owe budowy po kątach i na krańcach miasta, sprawdzić, czy wszędzie ludzie rzucili robotę. A prócz tego jeszcze jestem w komitecie zapomogowym. Trzeba pokarmić czarnoszyje, bo ta biedota żyje z ręki do gęby — żeby się czasem nie pętała o wypłatę na budowach, gdzie im może dadzą, a może i nie dadzą. A z tego bractwa dużo nie potrafi rachować i jak im dadzą

co, niby jako zaliczkę, to ich potem pookradają przy rozrachunku bez miłosierdzia... A więc był, jak się patrzy! Jaki wspaniały mówca był z Partii, powiadam ci! Aż ciarki chodziły po grzbiecie, jak mówił. A nie gadał długo. Mówił, trzeba mieć ducha do walki, by zwyciężyć. Ale duch — to nie gorąca para z gęby, rozplywająca się w niej za lada podmuchem. Duch bojowy — to chłodna, trzeźwa rozważa, dająca niezłomną zwartość zjednoczonej masie robotniczej. To mi wódz! — mówił Dziutek z zapalem. — „Każdemu jego słowa trafiły wprost do serca i głowy... Potem opracowało się żądania strajkowe i szło bardzo składnie. Są już gotowe, tylko jeszcze trochę zostało do uzupełnienia na jutro. I trzeba będzie jeszcze obłatać tu i ówdzie, czy wypadkiem gdzie nie robia...”

Wygadawszy, co miał na sercu, Dziutek usnął, jak kamień. Nie bardzo się wyspał, gdyż zerwał się na pierwsze cyknięcie budzika. Ubierał się i mył tak szybko, że gdybym gotował w czajniku wodę na herbatę, nie zaś wódkę na grzankę, to by się nie zdążyła zgotować. Wtroił przy grzance dobre pół kilo boczku i parę bułek i wybiegł, jak oparzony, mówiąc na wychodnym: „Jeżeli możesz, to nie wychodź przez cały dzień. Może wpadnę do ciebie...”

Jakoś wpadł nie długo po dwunastej. „Teraz — mówi już na progu — jeżeli masz chęć, będziesz mógł iść ze mną. Tylko udawaj, że nie ze mną idziesz, ale sam. Wymyśl sobie jakiś interes w tamtej stronie, na wypadek, jakby cię policja zahaczyła, co tam niby robisz”.

„Gdzie?”

„A no, przed Ratajem. Tam się mamy zebrać o godzinie drugiej. Idzie nasza delegacja z żądaniami do oberpolicmajstra”.

Delegację tę uchwalono wysłać z odpisem żądań strajkowych, przedstawianych przedsiębiorcom budowlanym, gdy się dowiedziano, że panowie ci przez starszyzną cechową zwrócili się do oberpolicmajstra o pomoc policyjną dla złamania strajku.

„Jużci, nikt z nas się nie spodziewa, żeby policja nam pomogła, ale nie zaszkodzi pójść do tego sukinsy-



WIEC MULARZÓW NA NOWEJ BUDOWIE W WARSZAWIE. Fot. Dobrzański.

Zdjęcie z „Tygodnika Ilustrowanego”

na — może się przy tej okazji wymiarkuje, co ci dranie myśla robić“.

Plac Teatralny od ulicy Bielańskiej do Daniłowiczowskiej, pomiędzy ścianami Ratusza i kościoła Pannien Kanoniczek a ogrodzeniem zieleńca — był zatłoczony murarzami. Stali spokojnie, patrząc w stronę bramy ratuszowej, przez którą wpuszczono bez żadnych ceregieli delegację. Policji nie było widać więcej, niż się zwykle tam jej kręciło.

Nagle otworzyły się drzwi wielkiego balkonu na pierwszym piętrze gmachu ratuszowego i pojawił się oberpolicmajster we własnej okazałej osobie. Wyglądał jeszcze o wiele bardziej imponująco, niż wtedy, kiedy go widział stojącego w powozie na ulicy Mazowieckiej.

Było jednak w jego postaci coś jeszcze bardziej uderzającego codziennego, niż podczas tamtej scenki. Na obliczu jego nie było teraz ani cienia groźnej surowości. Przeciwnie — łagodność prawie anielska, głos miękki, układny. Gesty okrągłe i powściągliwe. Słowem — mąż stanu pierwszej klasy. A bujał, jak najęty.

— Władza opiekuńcza bierze gorąco do serca potrzeby wasze i dołoży wszelkich starań dla ich jak najlepszego zaspokojenia.

Taka jest wola najmiłościwiej nam panującego najjaśniejszego pana i takie są zamiary jego. oberpolicmajstra, postawionego przez najjaśniejszego pana na tym stanowisku w tym właśnie celu, aby otaczał należytą troską jego wiernych poddanych, mieszkańców tego pięknego miasta... Dlatego też osobiście przestudiuje on jak najstaranniej i jak najzyczliwiej doręczone mu życzenia i postara się wywrzeć cały wpływ swej władzy na panów przedsiębiorców, aby życzenia te w miarę możliwości uwzględnili. Robotnicy powinni niezwłocznie podjąć przerwana pracę, bo budowy muszą być przecież doprowadzone pod dach przed nastaniem śróć i chłódów jesiennych, a on, oberpolicmajster, ręczy, że słuszne ich potrzeby zostaną w miarę możliwości zaspokojone. Więc proszę być najlepszej myśli, rozejść się spokojnie i wracać do pracy...

Taka była mniej więcej treść przemówienia oberpolicmajstra.

Wysłuchawszy go, zgromadzeni na placu murarze istotnie rozeszli się niezwłocznie, wracając — na Pole Mokotowskie.

Tu, wśród wiecujących, nie było żadnej różnicy zdań. „Będziemy strajkować aż do zwycięstwa!“ Przemowa oberpolicmajstra tylko jeszcze bardziej utwierdziła ich w pewności tego zwycięstwa. Szczególnie gruntownie podzielał argument, że budowy muszą być wyprowadzone pod dach w ciągu sezonu, inaczej bowiem przedsiębiorcy poniosą niepowetowane straty. „Muszą ścierwy ustąpić, jak się będziemy trzymać swego solidarnie, wszyscy za jednego i jeden za wszystkich, jak się nie damy wziąć w kant, ani zastraszyć... A ten ci jakoś nawet nie próbował straszyć. Nie gapa musi być z niego, wie, że jak się kto nie chce bać, to się go zastraszyć nie uda...“

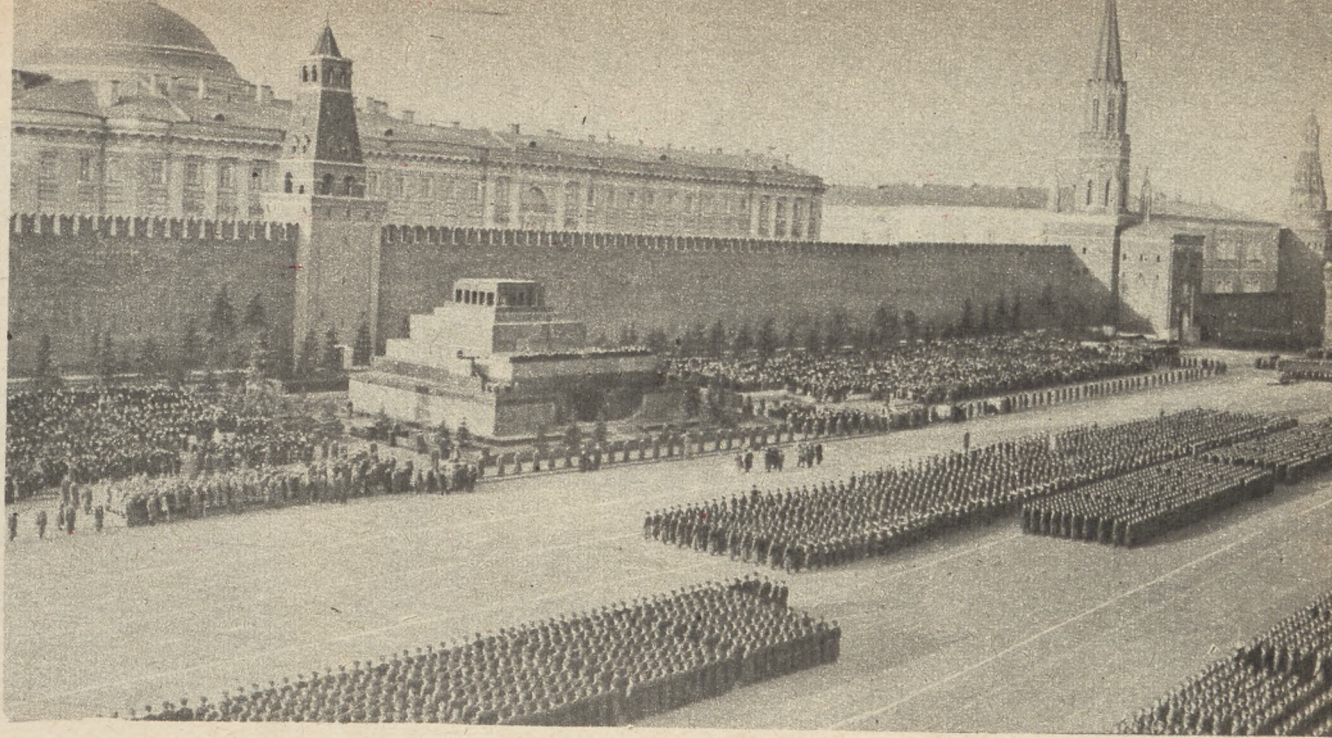
— A jak soczyście zalewał!.. I jaki okazały! Pamiętasz tę grubą świnię w generalskim mundurze w cyrku?

— To nie ten sam.

— Może i nie ten sam, ale z pewnością taki sam, jak tamten. To i wiadomo: nie dał Pan Bóg świni rogów...

Tak oto — ku swojemu wielkiemu zdziwieniu — miódousty policmajster nie potrafił zapobiec strajkowi. Murarze warszawscy zachowali potrzebny hart ducha. Zwycięstwo strajkujących stało się dla całego ogółu robotniczego Warszawy mocną podniętą do wspaniałych bojów klasowych lat następnych.

K O N I E C

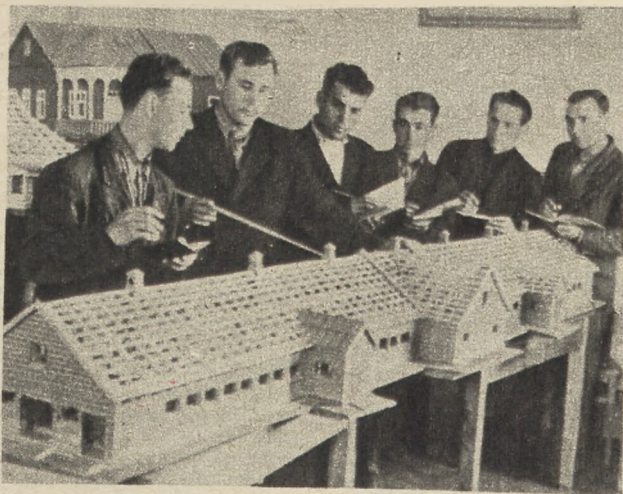


W XXXVI rocznicę Rewolucji Październikowej odbyła się na Placu Czerwonym w Moskwie tradycyjna defilada wojskowa i manifestacja ludności stolicy. Nasze zdjęcie przedstawia Plac Czerwony podczas przemówienia N. Bułganina (fot. W. Klablinin)

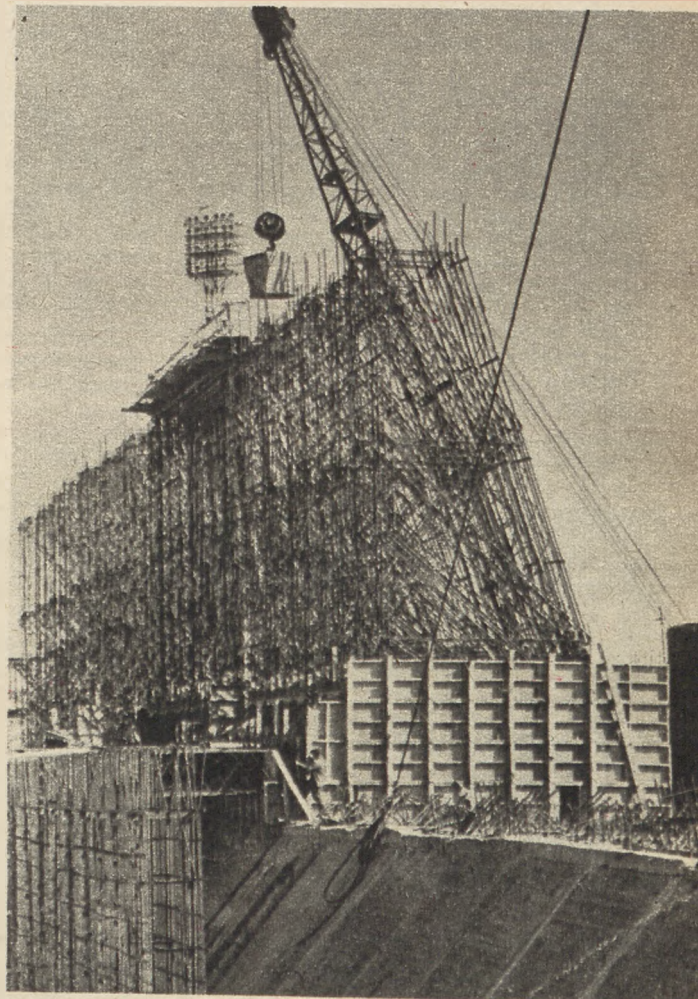
AKTUALNOŚCI RADZIECKIE



Scena zbiorowa z 2 aktu opery współczesnego kompozytora radzieckiego J. Szaporina „Dekabryści“. Operę tę wystawił ostatnio Państwowy Teatr Wielki w Moskwie (fot. A. Batanow)



W Winnicy istnieje szkoła, kształcąca kierowników dla kolchozowych brygad budowlanych. Absolwenci po ukończeniu nauki wracają do swych kolchozów, gdzie kierują budową domów mieszkalnych i zabudowań gospodarskich (fot. E. Kopyt)



Na budowie węzła Kachowskiego zakończono betonowanie dolnej części słuzy na kanale przepustowym. Obecnie dźwigi ustawiają elementy zbrojeń części nadziemnej. W gotowych częściach konstrukcji trwa betonowanie (fot. J. Lichuty)

Wielka fabryka jedwabiu w Rydze (na zdjęciu — hala drukarska) przygotowuje się do zwiększenia produkcji w roku przyszłym. W bieżącym roku handel radziecki rozprowadzi 400 mil. metrów tkanin jedwabnych — 5 razy więcej, niż przed wojną





Do Ośrodka Kształcenia Kadr Mechanizacji Rolnictwa w Radymnie przybywa młodzież wiejska z całej Polski. Po rannym apelu wesoło maszeruje na śniadanie.

CHŁOPCY Z PIERWSZYCH SZEREGÓW

TADEUSZ SARNECKI

„Antek urodził się we wsi, nad Wisłą. Wieś leżała w niewielkiej dolinie. Od północy otaczały ją wzgórza spadiste, porośnięte sosnowym lasem, od południa wzgórza garbate, zasypane leszczyną, tarniną i glogiem...”

Znacie to. Tak rozpoczął Bolesław Prus opowiadanie o Antku, które od roku 1880 przeczytały już miliony ludzi i każdy je chyba pamięta. Antek pasał krowy, ale marzył o budowaniu wiatraków. Aby nauczyć się jakiegoś rzemiosła, poszedł na praktykę do kowala, lecz ten kazał mu dzieci kołysać, pracować w gospodarstwie, a do kuźni nie puszczal. Antek sam nauczył się jednak odkuć podkowę i hufnale, a również wiele innych rzeczy z ołowiu i żelaza. „Za mądrys ty kochanku! — powiedział mu wtedy kowal — Nauczyłyś się fachu we trzy lata i później uciek...”

Antek uciekł jeszcze wcześniej. Chciał się uczyć, czasu było mu szkoda, pożeg-

nał się więc z matką i poszedł w świat. „Może społkacie kiedy wiejskiego chłopca, który szuka zarobku — napisał w końcu opowiadania Bolesław Prus — i takiej nauki, jakiej między swoimi nie mógł znaleźć... wówczas podajcie rękę pomocy temu dziecku...”

Prus wierzył w dobrych ludzi swej epoki, nam jest trudniej w nich wierzyć, gdyż jeszcze w roku 1939 (Antek byłby już wówczas staruszką) prasa podała wiadomość, że w Poznańskim młody chłop, a pod Garwolinem dwaj uczniowie, zaledwie po ukończeniu szkoły powszechnej, skonstruowali samoloty. A na wsi w Lubelskiem dwaj inni zmagistrowali turbinę powietrzną.

„I jakież rezultaty? — zapytywał wtedy ozonowy tygodnik „Jutro Polski”, i tym razem nie mamy powodu, aby mu nie wierzyć — Od czasu do czasu — pisał — przyjeżdżcie ktoś z miasta, zwabiony „gadkami” o ich „śtukach”, pokiwa gło-

wą, poklepie po ramieniu i na tym się kończy, a przecież mogliby to być inżynierowie, którzy by naszemu lotnictwu czy innemu gałęziom przemysłu mogli oddać nieocenione przysługi?”

Słusznie, ale kto potrzebował wtedy chłopskich inżynierów? Był to zawód nie dla „chamów”, w kraju panował zastój, „cham” musiał więc iść za zarobkiem aż na „Saksy”.

* * *

Stanisław Radczuk przyszedł na świat w niskiej chacie nad strumykiem, leniwie toczącym się do Bugu. Był rok 1935. Gdy zaczął raczkować wokół matczynej kiecki, napotkał na swej drodze młotek ojca. Nie mógł go jeszcze unieść w górę, suwał więc go tylko po podłodze, radując się stukiem żelaza o drzewo. Wkrótce jednak Staś stanął na nóżki, a ramiona nabrały większej mocy. Młotek fruwał teraz nad głową i spadając na deskę pozostawiał w niej interesujące wgłębienia. Waląc młotkiem na wszystkie strony, Staś odkrył dźwięk stali. Odtąd w całym obejściu wydobywał go to z pługa, to z brony, to z obręczy koła, która dzwiała najpiękniej, niczym sygnaturka.

Wreszcie Staś wyszedł i poza obejście, najpierw między na pole, bo furtkę na gościniec matczyński zawarło, później jednak i tam się znalazł, a to z następującej okazji:

Od krańców wsi zawarczał motor, a że tego nigdy jeszcze w Pogorzalcu nie słyszano, więc ludzie wybiegli z domów, a najgłośniejszym było oczywiście od dzieci. Ostrożnie, wymijając wyboje, wolno wśród chat posuwało się auto. Motor jednak prychał jeszcze tylko kilka razy, jakby się zakaszał i nagle zgasł. Nastąpiła niespodziewana cisza, lecz wtedy rozpoczęło się to najciekawsze. Szofer podniósł jakieś blachy, odsłonił pokręcone wymyślnie rury, kręcił korba, wprawiając w ruch metalowy wiatraczek tak długo i z takim uporem, aż motor znów zawarczał. Szofer wlał więc z powrotem za kierownicę, zatrąbił, dzieci rozbiegły się i auto ruszyło, wzniecając tumany kurzu.

Długo jeszcze patrzono za nim, aż kurz opadł. Pokazał się wtedy tylko pagórek, za którym chowała się droga. Auto nie było już widać.

— Tatulu — rzekł nagle zdecydowany Staś — i ja tak pojadę...

Śmiały mu się oczy. Stary Jan Radczuk, aby nie psuć mu nastroju, pobrażliwie przytakował: — A bendziesz, bendziesz...

Tylko jego żona Aniela wyczuła w tym głosie wyraźną nutę niewiary.

* * *

W drugiej stronie kraju, w górach między Starym a Nowym Sączem, chodził już wtedy za plugiem rosły parobczak, Piotr Sopata. Ojciec nie chciał go znać, matka, jak sam się wyraził „chodząc na usługi” nie miała dla niego czasu. Szkoły nie skończył, a i niechętnie do niej zaglądał, bo nie chciał słyszeć takiego jednego słowa, którym wypominano mu jego nieślubne pochodzenie. Ale słowo to chodziło za nim wszędzie.

Piękny jest krajobraz sądecki, ale Piotr ścigany tym jednym nienawistnym słowem, postanowił od niego uciec. Poszedł szlakiem utartym już przez polskich bandosów od dawna — na „Saksy”, na Dolny Śląsk. I zdawało się, że już w jego życiu nie zajdą żadne zmiany. Upływał rok za rokiem, nadeszła długotrwała wojna i oto pewnego dnia pojawili się na drodze polscy żołnierze, a na największym budynku za trzepotał biało-czerwony sztandar. Tu? Piotr Sopata zdumiał się wtrącony w taki wir myśli, że początkowo nie wiedział, co z sobą robić. Wkrótce pojął, iż można narodzić się po raz drugi i odbyć z pośpiechem tę drogę, której nie przebył w dzieciństwie. Poprosił żołnierzy, aby mu pokazywali, jak jeździ się „gazikiem” i jeździł nim tak długo, aż zajechał na kurs szoferski do Zabrza. Jednocześnie wziął się do książek i ślezczał nad nimi po nocach, wiele miał bowiem do odrobienia.

Skąd wziął się w nim ten zapal do nauki, sam nie umiałby może odpowiedzieć, może instynktem tylko wyczuwał, że stanie się to, o czym dawniej nie ośmielał się nawet marzyć.

* * *

Ze Stanisławem Radczukiem spotkał się Piotr Sopata przy warsztacie ślusarskim w Ośrodku Kształcenia Kadr Mechanizacji Rolnictwa w Radymnie. Majster Józef Rutz zsuwając na nos okulary spojrzał na obu. Figlarnie zamrugał do nich lewym okiem, podczas gdy prawym przewiercał ich jak świderem.

— Ano, dzieci, co będziemy robić? Każdy niech obmyśli sobie taką rzecz, aby mógł ją skończyć w jeden dzień. Jakie będzie wam potrzebne żelazo, wyda magazynier, a narzędzia macie tu, przed nosem. Reszta to furda, tylko trochę pomysłu i będzie gotowe.

Cóż więc robić? Stanisław Radczuk wybrał niedużą sztabkę i ważył ją niezdecydowanie na dłoni. Stał przy imadle i w milczeniu zaczął opiliowywać swój kawałek żelaza. Po pewnym czasie wydobył się z niego niezdamny jeszcze kształt młotka.

W przerwie obiadowej Radczuk zauważył, że to samo robi Władek Jernaś z Witoldowa pod Gostyninem i Bronek Sikora z Urzędowa. Jeden Piotr Sopata wydobywał z żelaza inny całkiem kształt, jakby klucz z podwójną rączką. Od razu obstarpił jego imadło.

— Co to będzie?

— A to taka obrotka do gwintownicy.

— A potrafisz?

— Próbuje, może i potrafię. Pierwszy raz to trzymam żelazo w garści?

Podszedł do paleniska. W silnym prądzie powietrza koks dawał niebieski, syjący płomień. Żelazo w tym płomieniu rozgrzewało się do białości, a rzucenie na kowadło poddawało się każdemu uderzeniu młotów. Przy tym kowadle spędził Piotr kilka następnych godzin i w końcu znów powrócił do imadła i pilnika.

Majster Józef Rutz przyszedł do warsztatu dopiero przed wieczorem, podszedł do pierwszego z brzegu Radczuka.

— Ho, ho!



„Oto robota, jakiej się nie spodziewałem — mówi majster Józef Rutz, pokazując obrotkę do gwintownicy, wykonaną przez Piotra Sopatę w ciągu jednego dnia.



Kombajn jest najbardziej skomplikowaną maszyną rolniczą, toteż na kurs dla kombajnów kierują POM-y tylko najlepszych spośród przodujących mechaników.

Okulary same stoczyły się na dół nosa i lewe oko samo figlarnie mrugnęło. Starsi pracownicy warsztatów wiedzieli już, że była to oznaka wielkiego zadziwienia. Rutz na jednej dłoni trzymał młotek, a drugą gładził go niemal pieśczołliwie.

— Ho, ho! Aleś, bratku, wyszlifował, niech cię pieruny biją!

Następnie podał mu swoją pracę Władek Jernaś.

— A tyś, bratku, czy? Syn inżyniera?

— Gdzieżby tam, z czworaków, mój ojciec był fornałem.

— A ja ci mówię, żeś ty i sam inżynier.

Rutz położył na blacie warsztatu oba młotki.

— Jeden lepszy od drugiego! — mruczał w zamyśleniu.

Ale nie był to jeszcze koniec niespodzianek. Przyniósł teraz swoją pracę Piotr Sopata. Józef Rutz nic nie mówiąc wziął z jego ręki obrotkę do gwintownicy i po chwili milczenia zapytał: — Wziąłeś to z magazynu?

Sopata szeroko otworzył oczy, zaczerwienił się.

— Skądże, ja sam...

Rutz zauważył jego pomieszenie, klepnął go dłonią w plecy.

— Ach, ty frajerze! Pewnie, że nie wzięłeś. Czegóż podobnego tam nie ma. No, chłopcy, wykujcie na blaszkach swe nadeżki i oddajcie mi je razem z tymi cudnikami!

Poszedł do biura, w którym od lat gromadził najlepsze prace swoich uczniów. Był dumny z tego zbioru i mawiał, że już wkrótce otworzy muzeum. Przechodząc koło kowali sam do siebie mruczał: — Już mam sześćdziesiąt lat, a jeszcze muszę się dziwić!

...

Tego wieczoru i dyrektor Ośrodka, Zygmunt Męczyński, był pod wrażeniem młotków i obrotki. Leżały przed nim na biurku i w świetle elektrycznych żarówek kusily oczy błyskiem tak gład-

kiej powierzchni, jak gdyby były wypolerowane.

— Tak, to nadzwyczajne, robota wprost precyzyjna!

Podał mi grubą księgę ze spisem uczniów: było ich 350. Tak więc z Ośrodka po dwóch turnusach wychodzi co roku siedmiuset młodych ludzi, posiadających już w swym zawodzie wyższe kwalifikacje. Pomocnicy traktorzystów stają się tu samodzielnymi traktorystami, niektórzy z traktorzystów przekształcają się w mechaników, mechanicy z wieloletnią już praktyką wychodzą stąd kombajnierami, nauczyciel się obsługuje i naprawiać tę przedziwną maszynę, która jest całą fabryką rolną. Kombajnery za kilka lat, a może już w roku następnym, uczyć się będą budowy maszyn rolniczych. Najzdolniejszym ta droga wskazuje i dalsze jeszcze możliwości: wyższe szkoły techniczne, inżynierne, politechniki.

A zaczyna się to przeważnie jak w „Antku” Prusa. Spotkałem nawet wśród uczniów młodego pomocnika traktorysty, Popisa, który uczył się najpierw kowalstwa na wsi, ale szybko opuścił swego majstra, bo go niczego nie uczył. Antek poszedł w świat, bez bliżej określonego celu, a Popis poszedł po prostu do POM-u skąd już po trzech miesiącach wysłano go do Ośrodka na kurs dla mechaników.

Próżno szukalibyście w przedwojennej prasie nazwisk chłopców spod Garwolina, tych właśnie, którzy zbudowali samolot. Nazwiska te zaginęły i dlatego nie możemy się dowiedzieć, czy chłopcy ci żyją i co robią. Nie zaginę jednak nazwiska Radczuka, Sopaty, Jernasia, Sikory, Popisa oraz nazwiska wielu tysięcy im podobnych. Wypisywane kilkakrotnie kredą na tablicy przodowników przeszły na razie do księgi dyrektora Męczyńskiego. Lecz usłyszymy je jeszcze nieraz, gdy tylko na wiosnę chłopcy powrócą do pracy.

Zdjęcia: K. JAROCOWSKI



Jutro traktorzyści będą zdawać egzamin z przepisów ruchu kołowego, a to jest najprostsza lekcja poglądowa bez narażenia się na możliwość zderzenia pojazdów.

NA TEMATY LITERACKIE

MARIAN BRANDYS

I INNE

CO CZYTAŁ LATARNIK?

U WĄŻNEMU czytelnikowi literatury klasycznej trafia się niekiedy okazja wejrzenia w tajniki „kuchni literackiej” wielkiego pisarza. Mnie takiej okazji dostarczył niedawno sienkiewiczowski „Latarnik”. Któż z polskich czytelników nie czytał tego pięknego, dramatycznego opowiadania o tęsknocie do ojczyzny. Kogóż nie wzruszał los starego latarnika, który po czterdziestoletniej rozłące z rodzinnym krajem tak się zaczytał w polskiej książce, że zapomniał oświetlić swą latarnię — co spowodowało katastrofę zbłąkanego na morzu statku.

Sądę, iż niewielu tylko czytelników wie, że cała ta historia o latarniku z Aspinval nie zrodziła się w wyobraźni pisarskiej Sienkiewicza — lecz opiera się na prawdziwym zdarzeniu, zaczerpniętym wprost z życia. Reporterską informację o zdarzeniu, które w przyszłości stać się miało osnową sławnego utworu literackiego, podaje sam Henryk Sienkiewicz w swych „Listach z Ameryki”. Pod datą 18 grudnia roku 1877, w liście, pisany w San Francisco, wśród wielu innych informacji o życiu Polonii amerykańskiej, późniejszy autor „Latarnika” zanotował co następuje:

„Umarł tu niedawno stary człowiek nazwiskiem Sielawa. Był to człowiek bardzo nieszczęśliwy. Gdzie nie był, jakich kolei nie przechodził, trudno by wyliczyć. Tułał się między Indianami; rozbijał się na wszystkich brzegach pięciu części świata, to dorabiał się jakiegos grosza, to tracił go... słowem był to uiszc rzucony burzą. Ale miał dwa lata w życiu szczęśliwe. Został latarnikiem w Aspinval, w Nowej Grenadzie, niedaleko równika. Siedząc na samotnej skale, nie widując ludzi po parę miesięcy, czuł się stary dziwak szczęśliwym. Zdawało mu się, że to już koniec jego wędrówek i że spokojnie dożyje wieczora życia i chwili, w której przyjdzie mu się wybrać w podróż ostatnią, wieczystą. Ale spokojne szczęście starego latarnika skończyło się tego dnia, gdy dostarczono mu z kraju paczkę polskich książek. Stary na ich widok upadł na kolana i płakał. Kto mu je przysłał, jakim sposobem dowiedział się ten ktoś o jego adresie — nigdy nie mógł odgadnąć. Porwał książki do swej wieży, otworzył pierwszą z brzoza i począł czytać. Był to „Murdelion” Kaczkowskiego. Stary czytał, czytał nie tylko oczyma, ale duszą i sercem. Sciemniło się, zapalił lampę i czytał dalej... Nazajutrz odebrano mu miejsce i oddano go pod sąd — zapomniał zapalić latarni! — skutkiem czego jakiś okręt uszkodził się o skały...”

Ta zwięzła relacja o zdarzeniu, zasłyszczanym przez Sienkiewicza w Ameryce, brzmi jak najdoskonalsze streszczenie powstałej w parę lat później sławnej noweli „Latarnik”. Wielki pisarz, przetwarzając konkretne życiowe wydarzenie na literackie uogólnienie, nie zmienił nic w prawdziwym układzie faktów i reżyserii życia nie starał się uzupełniać fantazją pisarską. Jeden z najpiękniejszych utworów polskiej nowelistyki jest wiernym w każdym niemałym szczególe odbiciem prawdziwej przygody prawdziwego latarnika z Aspinval.

Ale w tym niemal autentycznym obrazie literackim pewien dość istotny szczegół uległ jednak przeinaczeniu. Zmieniona została książka, która tak tragiczną rolę odegrała w życiu nieszczęsnego wygnańca. Prawdziwy latarnik z Aspinval zaczytał się w głośnie w owym czasie powieści historycznej „Murdelion” Zygmunta Kaczkowskiego. Natomiast bohater sienkiewiczowski „Latarnika” zapomina o całym świecie nad kartami „Pana Tadeusza”.

Dlaczego w tym jednym szczególe Sienkiewicz nie dochował wierności autentycznej anegdocie? Dlaczego w miejsce powieści Kaczkowskiego podstawił dzieło Mickiewicza?

Na pytania te odpowiedzieć można tylko domysłem, ale domysł ten z pewnością niedaleki będzie od prawdy, gdyż sedno sprawy zdaje się tkwić w ogólnie znanym stosunku Sienkiewicza do twórczości współczesnego mu Kaczkowskiego.

Zygmunt Kaczkowski (1826—1896), autor wielu poczytnych powieści historycznych, był przez krytykę i czytelników swego czasu oceniany znacznie wyżej rzeczywistych zasług literackich. Krytycy stawiali młodemu Sienkiewiczowi książki Kaczkowskiego za wzór pisarstwa historycznego. Ale przyszły autor „Trylogii” i „Krzyżaków” był bystrzejszy od swych nieostrożnych krytyków i lepiej od nich zdawał sobie sprawę z przemijającej wartości utworów modnego pisarza.

I kiedy przyszło do literackiego uogólnienia dramatu latarnika z Aspinval — Sienkiewicz instynktem wielkiego realisty wyczuł, że tego wstrząsającego dramatu ludzkiej tęsknoty nie da się w pełni wygrać w oparciu o motyw tak nietrwały i mało ważki, jak „Murdelion” Kaczkowskiego. Dlatego stęsknionemu tułaczowi w swojej noweli dał do czytania nie „Murdeliona”, lecz najpiękniejsze i najtrwalsze słowa polskie o tęsknocie do ojczyzny — inwokację z „Pana Tadeusza”.

Tak to w pisarstwie bywa, że w surowym materiale życiowym niejedno trzeba zmieniać, aby literacki obraz życia mógł prawdziwie przemówić do czytelnika.



rys. A. Perzyk



rys. A. Perzyk

RYSOWAŁ PAUL HOGARTH

W P O L S C E

W CZECHOSŁOWACJI



BUDOWA DOMU NA PODHALU.



RYBAK HELSKI.

W Anglii, krajach Europy Zachodniej i Ameryce prasa kapitalistyczna wszelkimi sposobami usiłuje zataić przed czytelnikami fakt, iż bohaterki naród polski odnosi stale nowe sukcesy w odbudowie swego zniszczonego kraju i tworzeniu nowego życia.

Żadna jednak propaganda nie zdota przekonać angielskiej klasy robotniczej, że naród polski budując nowe domy, szpitale, szkoły i fabryki myśli o wojnie. Rysując moje szkice — często porównywałem Polskę z Grecją. W przeciwieństwie do Grecji, w Polsce nie widziałem dziesięcioletnich dzieci pracujących w fabrykach ani żon robotników sprzedających zapalki na ulicy, ani intelektualistów czyszczących buty przed eleganckimi lokalami.

Naród polski ujął rządy w swoje ręce i sam buduje swoją szczęśliwą przyszłość.

Paul Hogarth



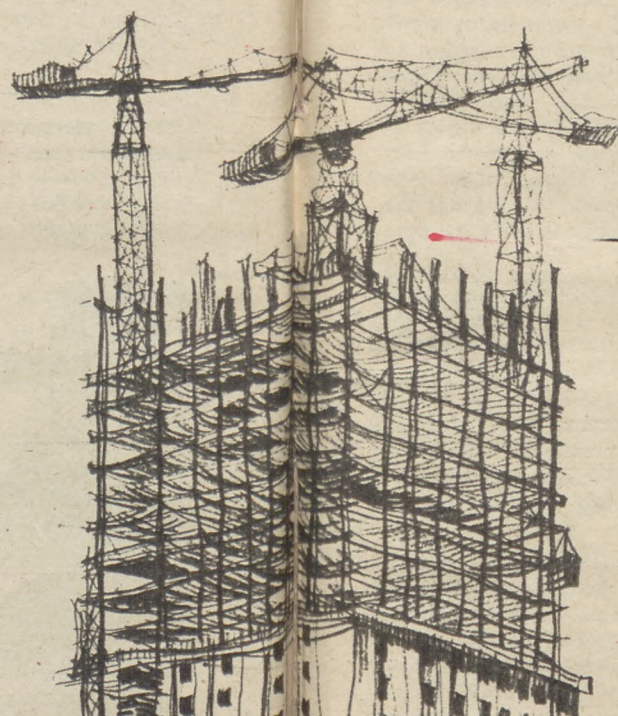
ROBOTNICZY ZAKŁADÓW W GOTTWALDOWIE IDĄ NA NOCĄ ZMIANĘ.



GORNIK ZE STALINOGRODU



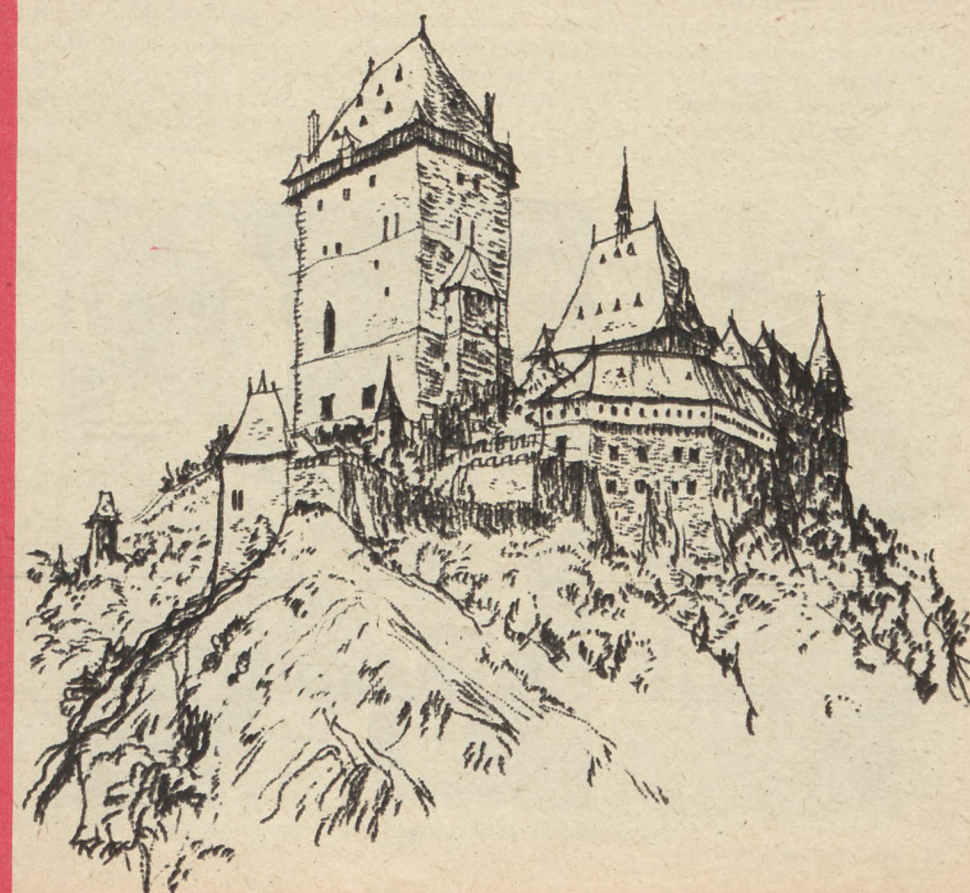
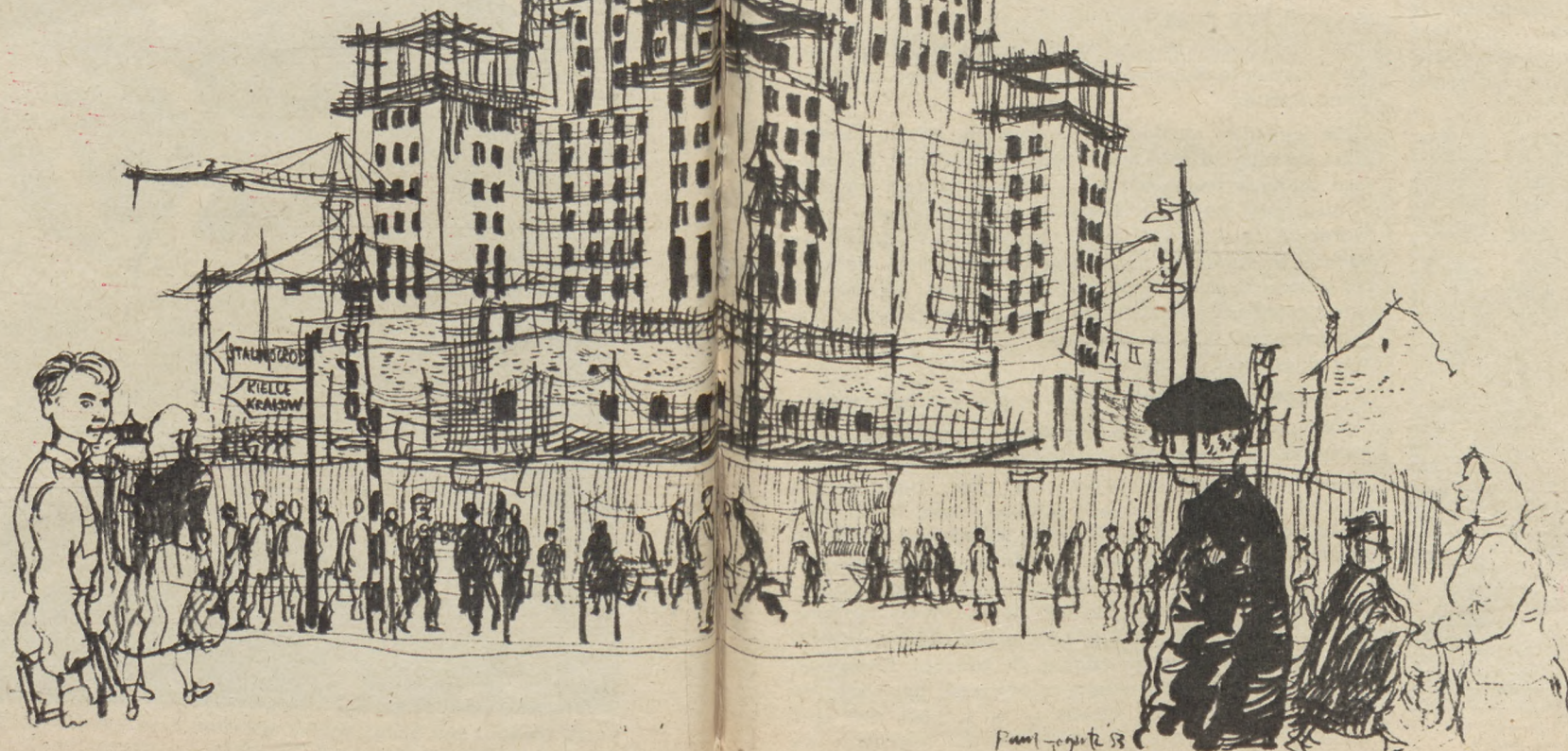
KOŚCIÓŁ MARIACKI W KRAKOWIE



SŁOWACKA CHŁOPKA



CZŁONEK SPÓŁDZIELNI GARNCARZY W MODREJ (SŁOWACJA)



ZAPISKI DYPLOMATYCZNE

Pana Hrabiego

STEFAN ARSKI

(2)

SZEMBEK wiernie odtwarza niezapomniane chwile uroczystych spotkań z hitlerowskimi dostojnikami, pilnie notuje ich nauki i wskazania, stara się nie uронić ani słowa. Wytrawny dyplomata, przyuczony wymaganiami swego „szefa”, wie, że będą mu one drogowskazem w pracy na długie lata, cenniejszym często niż instrukcje Becka, bo zaczerpniętym z pierwszej ręki wprost u źródła...

Pod datą 31 stycznia 1935 roku czytamy więc:

„Rozmowa z Goeringiem. Podczas przyjęcia w ambasadzie niemieckiej z okazji wizyty Goeringa, Wielki Łowczy podnosząc się od stołu, wszczął w sąsiednim

miecką jak polską”. (Teraz rośli wszyscy gospodarze: cóż za wspaniałomyślne porównanie w ustach tak dostojnego gościa! — St. Ar.).

„Następnie — notuje Szembek — Goering śmiało podjął temat stosunków polsko-niemieckich. Niemcy życzą sobie Polski silnej, zdolnej stworzyć w oparciu o Niemcy bastion przeciwko Rosji... Goering podkreślił następnie, że Polska jest pomostem łączącym Bałtyk z Morzem Czarnym i że czekają ją szerokie możliwości na Ukrainie”.

W parę dni później Goering stał się jeszcze rozmowniejszy i jeszcze bardziej szczery. Szembek relacjonuje przebieg łowów w Puszczy Białowieskiej i notuje: „Goering zachowywał się swobodnie i poruszał sprawy polityczne. Najwięcej rozmawiał z generałami Fabrycem i Sosnkowskim i w ich obecności otwarcie nam zaproponował przymierze antysowieckie i wspólny marsz na Moskwę”. Szembek nieraz musiał wracać do tych zapisków swego diariusza. Ilekroć chciał zrozumieć sens posunięć swego „szefa” — znajdował tu gotową odpowiedź.

„Elita” — jak się rzekło — pilnie korzystała z tej belwedersko-hitlerowskiej edukacji. A gdy nie stało belwederskiego „samotnika”, korzystała już niemal wyłącznie z berlińskiego źródła. Ślady tej edukacji rozsiłane są obficie po kartkach dziennika Szembeka. Po prostu, gdzie spojrzysz — perelka. Podziwiać przy tym

należy zdolność przewidywania sanacyjnych polityków. Jeśli polityka jest umiejętnością przewidywania — to sanacyjni mężowie stanu pobili wszelkie rekordy niepolitycznego myślenia. Po prostu — pałka z dwoma minusami! Na kilka miesięcy przed przystąpieniem Związku Radzieckiego do Ligi Narodów, Piłsudski zapewnia ministra Barthou, że ZSRR nigdy do Ligi nie wstąpi.

Na krótko przed najazdem Mussoliniego na Abisynię, ambasador polski w Rzymie informuje Szembeka, że „nie należy przewidywać wojny włosko-abisyńskiej”. Na kilka tygodni przed zagarnięciem Czech przez Hitlera — ambasador Łukasiewicz wyrażał się z najwyż-

pokoju rozmowę z premierem Kozłowskim. Za chwilę Moltke (ówczesny ambasador hitlerowski w Warszawie St. Ar.) podszedł ze mną do nich, przyłączył się również Beck. Wywiązała się niezwykle ożywiona wymiana zdań. Goering zaczął od definicji, kogo uważa za doskonałego męża stanu. Pierwszy warunek jego wychowania — to przeszłość wojskowa, rozwijająca charakter, stanowczość i dyscyplinę, niezbędne w życiu politycznym. (Beck rósł we własnych oczach, świadom, że to do niego pito, kadzidła zaś lubił ponad wszelką miarę — St. Ar.). Drugi warunek, to wykształcenie historyczne. Dwie te zalety cechują zarówno rasę nie-



Niezapomniane chwile spotkań z hitlerowskimi wodzami Szembek, Beck, Ribbentrop

szą ironią o tych, którzy przepowiadali taki bieg wypadków.

A oto jak wyedukowany w belwedersko-hitlerowskiej szkole Szembek wyklada brytyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych, Edenowi, swe i swego szefa poglądy na stosunki polsko-niemieckie:

„Stwierdziłem — pisze — że Trzecia Rzesza jest zbyt zaabsorbowana swymi sprawami wewnętrznymi, by zajmować się poszerzaniem swych granic kosztem sąsiadów. Dla Polaków jedno jest niewątpliwe: w każdym wypadku, ze wszystkich rządów możliwych w Niemczech, reżym hitlerowski jest dla nas najlepszy. Dowód — udało nam się porozumieć z Hitlerem. Jest on jedynym niemieckim mężem stanu, który umiał zawrzeć z nami przyjaźń. Oto dlaczego jest dla nas niemożliwością przyłączyć się do jakiegokolwiek akcji przeciwko niemu”.

Ze Szembek odtwarza tu wiernie poglądy swego szefa, świadczy choćby rozmowa jego z Beckiem w dniu 7 sierpnia 1935 roku, w okresie niezwykle brutalnych prowokacji hitlerowskich w Gdańsku. „Szef” pouczał wtedy swego podwładnego, że wszystko to jest dziełem paru niezdyscyplinowanych funkcjonariuszy hitlerowskich z „Gau Danzig” oraz paru starych urzędników z niemieckiego MSZ-tu i z... Banku Rzeszy (!), w każdym razie nic tu nie zawinił Hitler ani Goering. Cytuujemy dziennik Szembeka:

„Rozmowa z Beckiem. Minister mi mówi, że od dawna już stawiał sobie pytanie, czy polityka Niemiec wobec nas jest szczerą i czy Niemcy po śmierci marszałka Piłsudskiego nie będą próbowali wyrzucić na nas nacisku agresywnego. By się o tym przekonać, Beck chciał przeprowadzić kilka prób. Spór z Gdańskiem był właśnie taką okazją, która dała nadspodziewane rezultaty. Postawa Hitlera i Goeringa wobec nas była zdecydowanie życzliwa. Jest jasne, że rząd niemiecki nie sprovokował tych nieporozumień...”

Nie dziwi więc nas już wcale, że po takiej „próbie” Beck instruuje Szembeka przed podróżą tego ostatniego do Berlina:

„W wypadku rozmowy z kanclerzem, jeśli by stawiał jakie pytania, udzielić mu wszelkich wyjaśnień nie czyniąc żadnych trudności. Jeśli zaś nie wystąpi on sam z inicjatywą, należy samemu w czasie rozmowy zadeklarować, że — „rząd polski (trzeba tu dać do zrozumienia, że mamy na myśli wszystkie czynniki kierujące, łącznie z generałem Rydzem-Smigłym) trzyma się zasad marszałka Piłsudskiego, że nasza polityka zagraniczna nie ulegnie zmianie i że nie ma najmniejszej skłonności do zmiany”.

Oto prawdziwe credo sanacyjnej wiary politycznej.

Tymczasem wszystkie wiązania europejskiego ładu zaczynały już trzeszczeć aż do fundamentów. Hitler — wspierany aktywnie przez reakcyjne rządy Anglii, Francji i USA — wybijał cegłę po cegle, wyrąbał belkę po belce. Lada chwila miał się zawalić dach nad Polską. Właśnie podpisywano ostatnie wiązania: Austria była już w rękach Hitlera, Sudety, Czechy i Słowacja miały lada dzień podzielić jej los. Wszystko przy czynnej pomocy Becka. I w tym właśnie okresie wielki mąż stanu sanacyjnego chowu, b. premier Kozłowski (który potem zrzucił maskę i otwarcie przeszedł na stronę hitlerowców, zgłaszając w r. 1941 gotowość czynnej kolaboracji), zachłystywał się wspaniałością



Elita sanacyjna pilnie korzystała z belwedersko-hitlerowskiej edukacji... Piłsudski, Goebbels, Beck podczas wizyty hitlerowskiego ministra w Belwedrze.



Wielki Łowczy Goering



Ekscelencja Goebbels



Doktor Hans Frank

polskiej polityki zagranicznej. 29 marca 1936 roku Szembek zanotował w dzienniku:

„Rozmowa z byłym premierem Kozłowskim. Jego zdaniem, polityka zagraniczna Polski jest najbardziej olśniewającym sektorem działalności naszego rządu“.

To jedna z najcenniejszych perełek sanacyjnej mądrości, jaką znajdujemy na kartkach dziennika Szembeka. Może się z nią mierzyć jeszcze chyba tylko wypowiedź pułkownika Koca, wodza OZON-u, a więc takiego sobie — powiedzmy — lokalnego, polskiego Hessa. Gwarancję brytyjską dla Polski w roku 1939 powiatał ów znamienity polityk tymi oto słowami:

„O ile Wielka Brytania poprze nas swą potęgą morską i powietrzną, o tyle my ze swej strony damy naszą wielką armię lądową, która stanowić będzie kolosalną pomoc dla imperium brytyjskiego“.

Niewiarygodne? Ale za to prawdziwe.

Czegóż jednak chcieć od Koca, który był tylko pułkownikiem i to od dawna przeniesionym w stan spoczynku, jeśli generałowie w służbie czynnej i to na stanowiskach naczelnym w armii Śmigłego Rydzą mogli się zdobyć na takie opinie, jak poniższa wypowiedź szefa sztabu głównego, generała Stachewicza:

„Generał sądzi, że Niemcy nie są przygotowane do wojny, rozumując więc logicznie nie powinniśmy wierzyć w możliwość konfliktu“.

Albo zdanie generała Litwinowicza:

„Słabość Niemiec polega na tym, że nie zdołali oni wyćwiczyć czterdziestu roczników rezerwy... Pierwszy okres wojny może być dla nas ciężki... ale ostateczny wynik konfliktu jest niewątpliwie“.

Zapisane są te słowa wojskowych „fachowców“ — niestety wówczas jeszcze nie w stanie spoczynku — na kartkach końcowych dziennika Szembeka, bliskich dacie 31 sierpnia roku 1939. Na tej bowiem dacie dziennik się urywa. I słusznie. Cóż można było dodać do tego wszystkiego po dniu 31 sierpnia 1939, kiedy Szembek po raz ostatni wpisywał słowa:

„Rozmowa z Monsignore Cortesi, nuncjuszem papieskim w Warszawie. Ojciec Święty, oceniając sytuację jako krańcowo poważną, zagrażającą w każdej chwili wybuchem wojny, polecił nuncjuszowi oświadczyć, że Stolica Apostolska otrzymała informacje ze źródeł jak najbardziej poważnych, że wojny można by uniknąć, jeśli Polska wyrazi pragnienie nawiązania bezpośredniego kontaktu z Niemcami i nie będzie oponowała przeciwko powrotowi Gdańska do Rzeszy. Papież sądzi, że ewentualne rozmowy mogłyby się odbyć na temat:

- 1) powrotu Gdańska do Rzeszy, z zastrzeżeniem ułatwień handlowych dla Polski na terenie Wolnego Miasta;
- 2) zagadnienie „korytarza“;
- 3) sprawy związane z losem mniejszości niemieckiej w Polsce.

Tego samego dnia. Rozmowa z Beckiem. „Poinformowałem go o spotkaniu z nuncjuszem i jego propozycjach...“

Można było dopisać na ostatniej kartce już tylko:

1 WRZEŚNIA 1939: KONIEC

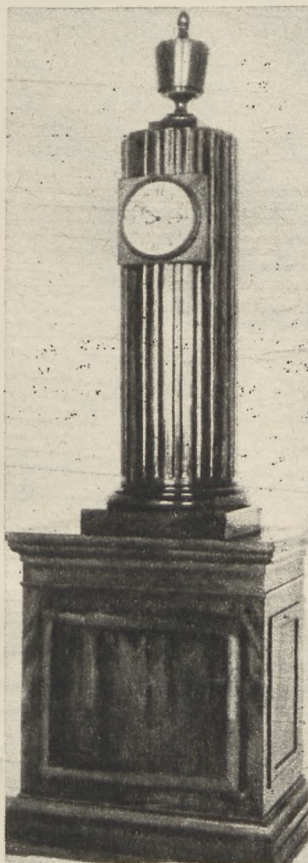


Dobre gospodynie udzielają sobie dobrych rad: racjonalne prowadzenie gospodarstwa domowego wymaga odkładania co tydzień choćby niewielkich sum na książeczkę oszczędnościową PKO.

KISSAR ORFINKA

ZDZISŁAW SZULC

Kustosz Muzeum Instrumentów w Poznaniu



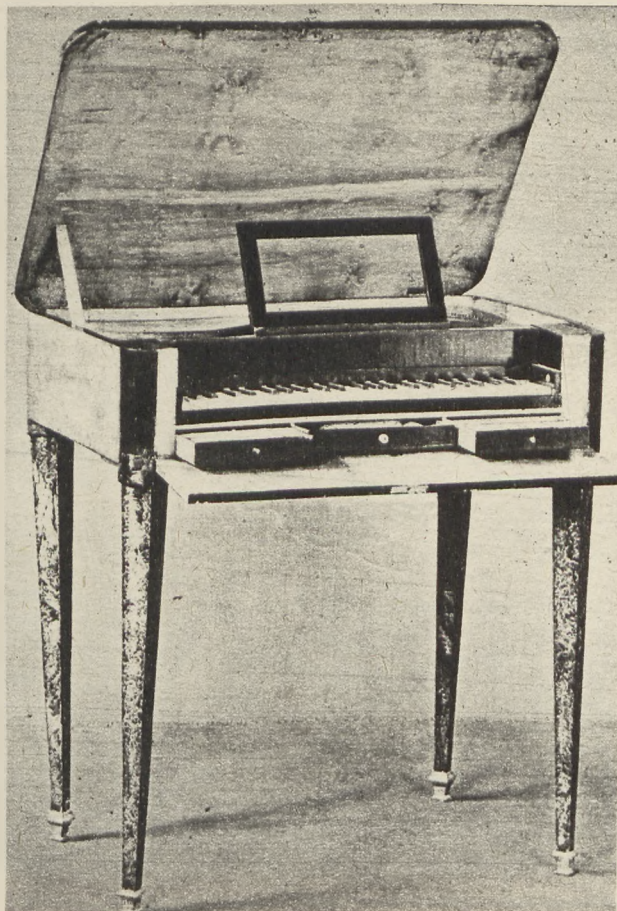
Zegar z kurantem fletowym z początku XIX w.

M AŁO kto wie o tym, że mamy w Polsce specjalne muzeum instrumentów muzycznych, jako Dział Instrumentów Muzycznych Muzeum Narodowego w Poznaniu — tak brzmi oficjalna nazwa tej nowej placówki kulturalnej. Dzięki staraniom i zabiegom dyrektora dr K. Malinowskiego, przy poparciu Centralnego Zarządu Muzeów, zbiory ulokowano w umyślnie odbudowanej i przystosowanej zabytkowej kamieniczce Grodzickich na poznańskim Starym Rynku, gdzie znalazły piękne pomieszczenie. Instrumentów jest ponad pięćset, w czterdziestu salkach.

Ekspozycja jest bogata i ciekawa. Od razu na wstępie uwagę zwraca harmonika szklana, znana wszystkim z nazwy dzięki opisowi w „Panu Tadeuszu“; nie mniejsze zainteresowanie budzi kocioł z emblematami polskimi, należący kiedyś do Józefa Augusta III.

Imponująca jest kolekcja instrumentów dętych. Są trąbki, pomorty (unikaty!) pamiętające czasy Odrodzenia, puzony z XVII wieku, osiemnastowieczne krzywośze czyli krzywe rożki angielskie i mnóstwo używanych kiedyś klarnetów i obojów oraz na ogół nieznane: czakan czy flażolet. Znałże tu można poza tym różnego typu fiszharmonie oraz wytwornie wykonane organki pokojowe z około 1800 roku.

Instrumenty strunowe znajdują się na pierwszym piętrze. W sali fortepianów jest instrument z 1751 roku).



Fortepianik buduarowy



Salka parterowa. W gablocie po prawej gamba tenorowa Marcina Groblichza z XVII w.

Obok wyróżnia się piękna robotą tzw. szafa, dzieło dawnego warszawskiego fortepianmistrza Leszczyńskiego (muzeum posiada szereg fortepianów dawnych polskich mistrzów). Zwiedzający obejrzeć mogą też fortepianiki buduarowe z wysuwaną klawiaturą, mające poza tym osobne szufiadki i przegródki na przybory kosmetyczne i do szycia. Bardzo interesującym eksponatem jest tu tak zwana orfinka, czyli fortepianik obnośny, używany kiedyś przez ks. Józefa Poniatowskiego. Są również klawikordy o zapomnianym już dzisiaj subtelnym dźwięku (instrumenty ulubione przez Jana Sebastiana Bacha), są klawesyny. Paradny klawesyn z początku osiemnastego wieku zdobi „salę gotycką“.

Prawdziwe skarby znajdują się wśród instrumentów smyczkowych, muzeum posiada bowiem dzieła sławnych lutników polskich z epoki Odrodzenia. Są doskonale zachowane i o pięknym nadal brzmieniu skrzypce oraz gamba roboty starszego Marcina Groblichza, pochodzące z około 1600 roku i skrzypce dwóch Baltazarów Dankwartów, z lat 1602 i 1659. Instrumenty szarpane reprezentowane są nie mniej interesująco a więc są teorbany Zwierzynskiego (1701) i Kwiatkowskiego (1748), lutnia teorbaniżowana, gitary Mićkowskiego, Pasamońskiego, Klimowskiego i wielu innych dawnych naszych lutników. W zespole niepolskich instrumentów wyróżnia się włoskiej roboty pandurina (bandurka) z XVI wieku, wykonana z kości słoniowej i sztyldkretu.

Ostatnia salka na tym piętrze poświęcona jest Chopinowi. Tutaj bezcennym eksponatem jest fortepian na którym Chopin parokrotnie koncertował w pobliskim Antoninie, u Radziwiłła.

W salkach drugiego piętra mieszczą się instrumenty ludowe polskie i obce. W pierwszej zobaczyć można różnej budowy dudę polską (uwaga: dudów nie należy nazywać kobzą; kobza jest instrumentem strunowym u nas dawno wygasłym!), rozmaite prastare instrumenty smyczkowe — w oryginalnej, względnie w rekonstrukcji, jak: pramażanki, mazanki, sta-

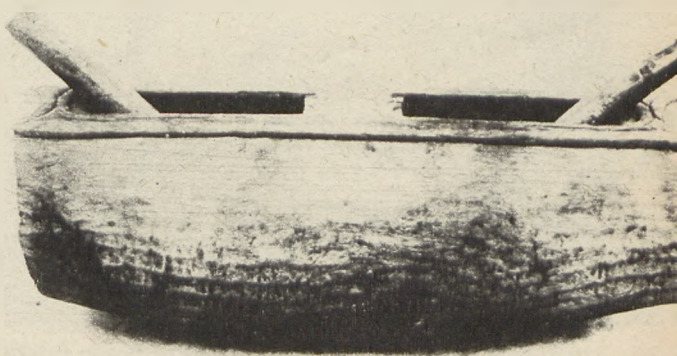
ropolska gęśl, suka, gęśliki podhalańskie, oktawa i inne. Są tam także różnych odmian piszczałki, ligawki, cymbały. W trzeciej sali mieści się duża i ciekawa kolekcja instrumentów indyjskich, o przedziwnych nieraz kształtach i bogatej ornamentacji oraz zbliżone charakterem instrumenty krajów tureckich. Dalej znajdują się instrumenty tybetańskie (tam bębenek dwoiśty, zrobiony z dwóch czerepów ludzkich), instrumenty japońskie i chińskie. Tutaj wyróżnia się atrakcyjny, w ubiegłym roku przez prof. dr Lisę z Chin przywieziony szeń; ten typ instrumentu natchnął w początkach ubiegłego wieku europejskich budowniczych instrumentów do zbudowania pierwszej fiszharmonii. Wreszcie ostatnia sala reprezentuje Afrykę. Znajdują się tu cały zespół przeróżnych bębnow. Najciekawszym jednak eksponatem tej sali jest niewątpliwie abisyński kissar; jest to typowa lira, jaka używana była w Grecji starożytnej, a która w tym zakątku czarnego lądu przetrwała do dnia dzisiejszego.

Aczkolwiek poznański zbiór instrumentów jest wcale bogaty, to zebrana tu ilość eksponatów byłaby wielokrotnie większa, gdyby nie liczne wojny i z tym związane olbrzymie straty materialne. Ież to np. musiało zginąć instrumentów zabytkowych w spalonej i zburzonej Warszawie? Nic więc dziwnego, że w innych muzeach polskich instrumenty muzyczne można zobaczyć tylko sporadycznie

*

Dopisek Redakcji: Sądźmy, że właściciele rzadkich, starych lub egzotycznych instrumentów postąpiłby prawdziwie po obywatelsku, składając je do depozytu w Muzeum Instrumentów Muzycznych w Poznaniu. Tym samym zbiór wzbogaciłby się i stał chlubą naszej kultury muzycznej.

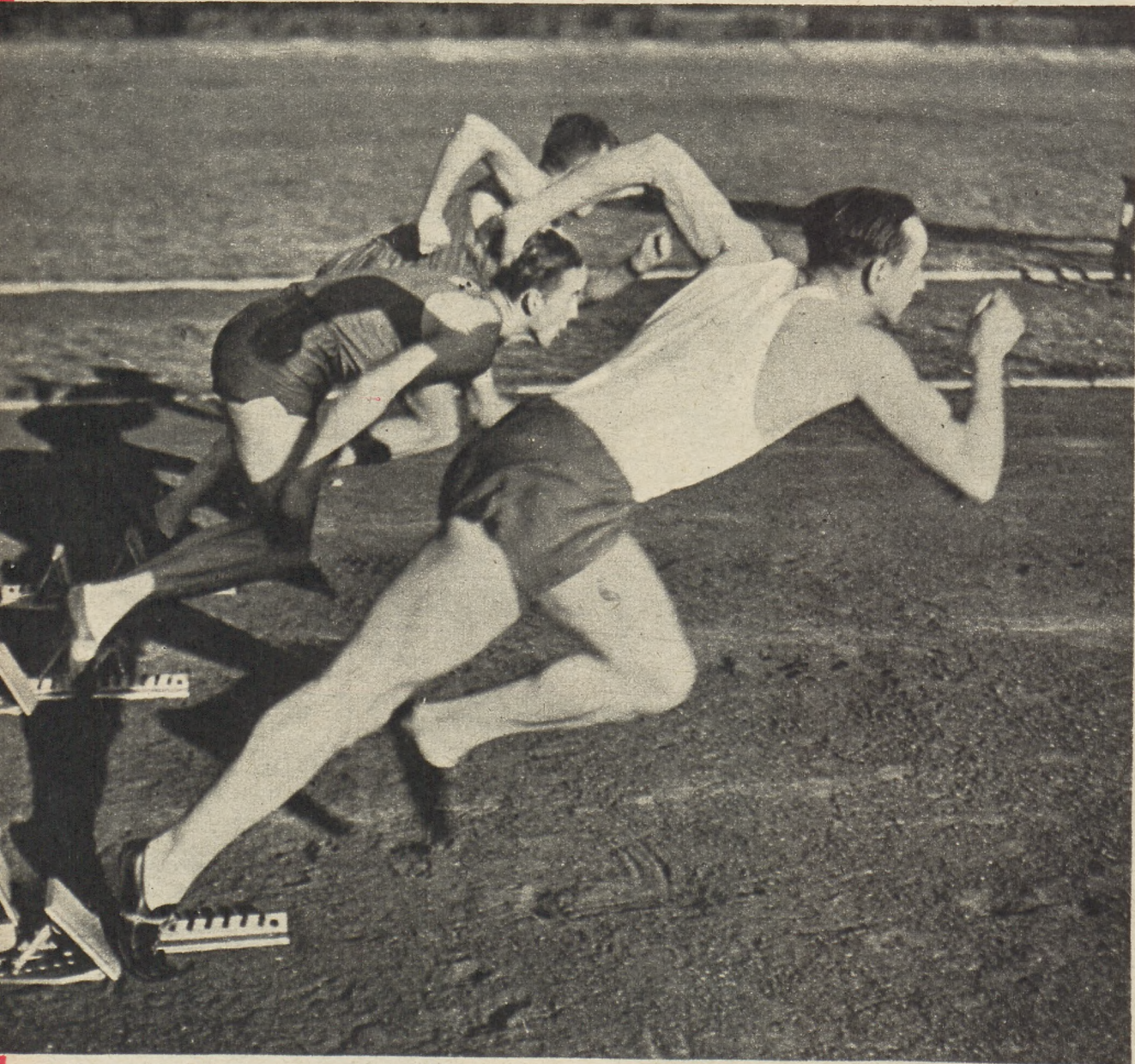
*) Jeden z najwcześniejszych egzemplarzy, jeśli zważyć, że pierwszy fortepian został skonstruowany przez Włocha, Bartolomeo Cristofori, w roku 1711.



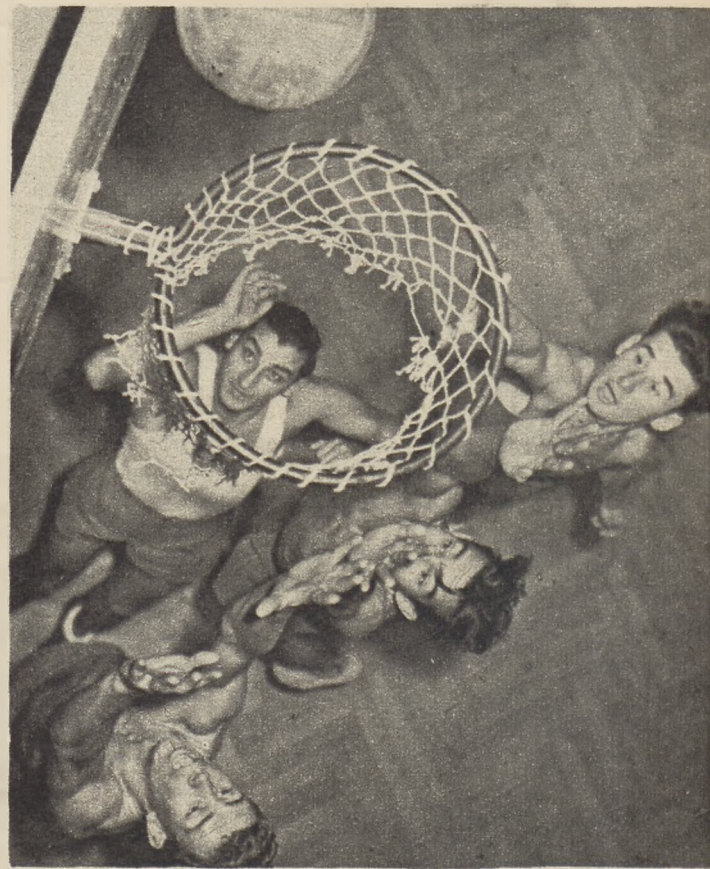
Tam - Tam, albo Lokale, gong drewniany. Kongo, Afryka



On i ona, romantyczne otoczenie i... dwie książki. Rok studiów niedawno się rozpoczął. Czekają ich wiele, wiele godzin trudnych wykładów... Kto dobrze wystartuje w nauce, nie będzie ostatni na egzaminacyjnej mecie.



Na miejsca... gotowi.. start! Gerard Mach (na pierwszym planie) studiuje w AWF. Jest wciąż najlepszym polskim 400-metrowcem i wcale nie zrezygnował z pobicia przedwojennego rekordu Polski Gassowskiego.



Radziwonowicz w opałach! Będzie kosz czy nie?... Sezon koszykówki w AWF w całej pełni. Jak się ma piękną halę w uczelni — można gwizdać na deszczu i śniegu.

DZIEŃ W AWF

BOHDAN TOMASZEWSKI

JEŚLI się mówi o pięknie polskiej jesieni, to ten, kto przespaceruje się listopadowym rankiem po alejach warszawskiej AWF, kto znajdzie się w tutejszym parku, wśród starych dębów, lip i brzoź, na pewno uzna, że najpiękniejsza jest jesień... bielańska.

Słowo jesień zwykle kojarzy się z refleksyjnością, spokojem i starością. Jesień bielańska jest jakaś inna. Tło przyrody — jesienne, lecz wokół atmosfera wiosny i młodości, zdrowia i tężyny fizycznej troskliwie krzewionej w murach i na stadionach uczelni, której sława wybiega daleko poza granice naszej ojczyzny.

Jest kilka minut po dziesiątej. Halli pusty, korytarze także, tylko od strony pływalni dochodzi gwar głosów i jednostajny szum wody. Zaglądamy do olbrzymiej hali sportowej. Promienie słońca przesuwają się przez szklaną ścianę i układają się w równy desen na podłodze. Posadzka lśni czystością i nie dziwimy się wcale napisowi na ścianie, który pozwala po niej stąpać tylko w miękkich pantoflach. Jednostajnie dudnią piłki, rzucane raz po raz w środek żelaznej obręczy. Trenują koszykarze. Jeden z nich to Zbyszek Radziwonowicz, świetny oszczepnik i druh Janusza Sidły. Razem z nim i słuchaczka II roku, Marysia Cichówna, przyczynili się do tego, że o polskim oszczepie głośno teraz na świecie.

Radziwonowicz, krępy i masywny, kiedy skacze pod koszem nabiera gracji baletnicy. Nie pierwszy już rok studiuje w AWF. Silne mięśnie nabrały elastyczności. Gra w kosza, pływa, uprawia boks i szermierkę. Czyż może się lepiej wieść młodemu, silnemu chłopcu, który za młodu marzył o karierze sławnego sportowca!

Czy bielańska AWF kształci tylko mięśnie? — Wystarczy tylko spojrzeć na rozkład codziennych zajęć studenta. Fizjologia, anatomia, marksizm, pedagogika... Wiele, wiele godzin wykładów i zajęć obejmuje szeroki zakres niezbędnej dla wartościowego w przyszłości wychowawcy. Każdego dnia mieszkańiec tych murów spędza długie godziny nad książką. Krótka wizyta u prof. Włodzimierza Missiuro w celu wyjaśnienia tajemnicy „dziwnego roweru“ pogłębia jeszcze nasz podziw dla tego wszystkiego, co wie (a właściwie co wiedzieć powinien) student tej sportowej uczelni podniesionej od kilku lat do rangi Akademii.

Wizyta u rektora Kosmana przynosi dalsze fakty: przed wojną w ówczesnym CIWF na jednym roku uczyło się 30 słuchaczy. Obecnie studiuje ich siedmiokrotnie więcej. Łączna liczba studentów na 3 rocznikach wynosi ponad 600. Przy końcu Planu 6-letniego wzrośnie do 800. AWF jest ogniskiem naszej współczesnej wiedzy o kulturze fizycznej. W tzw. studiach zaocznych bierze udział 250 osób spośród nauczycieli WF i instruktorów, ponadto przez mury uczelni przeżywają się stale uczestnicy różnych obozów i szkoleniowych kursów dla trenerów. W następnym roku czynnych już będzie 17 katedr z zakresu naukowej wiedzy o sporcie.

— Katedra lekkoatletyczna lub boks, czy tak? — pytam rektora Kosmana.

Notatnik zapaleńca

SALDO DODATNIE

JESIENIA wszyscy miłośnicy lekkooptyki zajmują się wyliczeniami. Chłopcy, którzy poza tym są na bakier z matematyką, robią zadziwiające operacje liczbowe, prawdziwe salta z powodu salda. Młodość wszystko liczy — powiedział w mądrym artykule Adolf Rudnicki — w dniu, w którym przestajemy liczyć, kończy się nasza młodość. A więc jesteśmy jeszcze młodzi, hura!

Niedawno czasopisma sportowe opublikowały listy dziesięciu najlepszych w lekkooptyce. Już po opublikowaniu list, Chromik i Mańkowski uzyskali bardzo dobre wyniki na 10 km, Lewandowski pobili rekord Polski w biegu na 1 km (2:26,6), a Głuszczyk uzyskał rekordowy wynik w chodzie. Te dwa ostatnie rezultaty nie miały, co prawda, bezpośredniego wpływu na wygląd listy — konkurencje te nie są na niej uwzględniane.

W roku bieżącym mężczyźni pobili rekordy przeciętnych dziesięciu najlepszych wyników we wszystkich konkurencjach z wyjątkiem skoku w dal, a kobiety we wszystkich konkurencjach bez żadnego wyjątku. Kto by na tej podstawie myślał, że nasze kobiety robią większe postępy niż mężczyźni, byłby, niestety, w błędzie. W konkurencjach uwzględnianych na listach 10 najlepszych, lekkoopteci ustalili w tym roku 7 rekordów Polski (1500 m — S. Lewandowski, 5 km — Chromik, 3 km z przeszkodami — Krzyszkowiak, tyczka — Adamczyk, dysk — Chojnacki, oszczep — Sidło, młot — Harmata), jeden rekord wyrównali (110 m p/pł — Bugala) i uzyskali 4 najlepsze powojenne wyniki (3 km — Chromik, 10 km — Chromik, 400 m p/pł — Makomaski, wzwyż — Z. Lewandowski). Do tego dochodzi jeszcze wartościowy rekord Polski w takiej konkurencji olimpijskiej, jak sztafeta 4x400 — 1:16,2. Ten ostatni wynik jest tylko zapowiedzią nowego rekordu, który powinien się narodzić w roku przyszłym. Na 400 metrów będzie nie lada tłok. Pozycję Macha zaatakuje Werbliński, Makomaski, może Buhl, a może Stawczyk, jeśli da się do tego namówić. Ale kto wie, czy rewelacją przyszłego sezonu nie będzie Prose, którego wynik (49,8) jest diabelnie obiecujący. A Brabanski? A Maćkowiak? A nasi ośmiusetmetrowcy? W roku przyszłym druga sztafeta 4x400 powinna uzyskać wynik tegorocznej pierwszej! To są zupełnie realne przypuszczenia.

Kobiety pobili 4 rekordy Polski (80 m p/pł — Bocianówna, 400 m — Szwańkowska, 500 m — Grodecka, oszczep — Ciachówna) i uzyskały jeden najlepszy powojenny rezultat (dysk — Konikówna). Niektóre z tych rekordów były bite w ciągu sezonu kilkakrotnie. Świadczy to tylko o tym, jak bardzo nasza lekkooptyka kobieca była zacofana. Rzecz bowiem nie w ilości rekordów i nie w poprawie przeciętnej, ale w jakości tych wyników — zarówno czołowych, jak i tych z dziesiątego miejsca. Niestety, postęp lekkooptyki kobiecej jest wciąż jeszcze grubo niezadowolający, a nawet, na tle skoku, jaki uczyniły nasze sąsiadki — nijaki. Dwie są konkurencje, w których postęp jest wyraźny: oszczep i płotki. Co do innych — wybaczcie, dziewczęta, ale to jeszcze nie to.

Wymowny jest fakt, że tylko trzy nasze lekkoopteci — Bocianówna, Duńska i Ciachówna — zmieściłyby się, i to ledwo — ledwo, na radzieckiej liście dziesięciu najlepszych. A tymczasem każdy czołowy rezultat mężczyzny (z wyjątkiem płotków) byłby ozdobą każdej listy dziesięciu najlepszych, włączając w to takie potęgę lekkooptyczną jak Związek Radziecki i Stany Zjednoczone. Czołowe wyniki naszych lekkooptek mają europejską wagę. Z punktacji listy 10 najlepszych w Europie wynikałoby, że zajmujemy na naszym kontynencie dwunaste miejsce. Na szczęście, tym razem cyfry wprowadzają w błąd: nie ukazują bowiem dynamiki rozwojowej naszej lekkooptyki. Nie ukazują tego, że wszyscy nasi rekordziści są bajecznie młodzi, że pięćdziesięciu biegaczy uzyskało na 800 m niżej 2 minut, że w tej chwili zupełnie nie wiadomo, przed kim w roku przyszłym będzie musiał uciekać Potrzebowski — i Jungwirth. W rzeczywistości jesteśmy już dziś potęgą europejską w takich konkurencjach, jak oszczep i trójskok. Wbrew pozorom, jesteśmy silni także w biegu na 5 km. Czechosłowacja, na przykład, nie ma poza Zatopkiem, zawodników lepszych niż Chromik, Graj i Krzyszkowiak. W tej chwili zadanie polega na tym, żeby nasi zawodnicy nauczyli się walczyć. Myślę, że nie ma ich co oszczędzać. Jeszcze przed mistrzostwami lekkooptycznymi Europy w Szwajcarii (do których po raz pierwszy przystępujemy nie bez szans) powinni rozegrać kilka spotkań międzypaństwowych.

Mówi się, że sprinterzy obniżyli w tym roku swe loty. To prawda. A przecież nadal mało jest w Europie zawodników, którzy by mogli być pewni zwycięstwa w walce z Baranowskim, Stawczykiem czy Kiszka. Natomiast naszym najlepszym sprinterem brakuje do poziomu europejskiego 0,4 sek! W imieniu szerokich rzesz zapaleńców — prosimy o zlikwidowanie tej różnicy.



Rekordowy rzut Janusza Sidły ustanowiony w Jenie wprowadził jego kolegów z Akademii Wychowania Fizycznego w dziwny stan, który można by nazwać „gorączką oszczepową”. Trener Janusza Sidły, Szelest, nie może narzekać na brak młodego i naprawdę zdolnego narybku w uczelni. Wszyscy chcą zostać mistrzami świata.

BIELAŃSKA JESIEŃ MA COŚ Z WIOSNY

Zdjęcia: Z. MAŁEK

— Ależ tak, czy jest w tym coś dziwnego? Lekkoatletyka, boks, gimnastyka, czy inne dziedziny — to przecież cała szeroka wiedza. Tylko wówczas nie tajemna, jeśli się ją traktuje właśnie naukowo, teoretycznie i konfrontuje z praktyką.

AWF była nieraz miejscem obozów przedolimpijskich naszej kadry. Zyskała miano wioski przedolimpijskiej. Teraz na Bielanach myśli się już o Melbourne. W przyszłości ma powstać tu Szkoła Mistrza Sportowego, która zgromadzi naszych najlepszych zawodników; tych, którzy będą mieli prawo myśleć o starcie w następnych Igrzyskach Olimpijskich.

Studenci — przyszli wychowawcy młodzieży zawczasu spობiają się do swego zawodu. Roztoczyli sportową opiekę nad bielańskimi szkołami podstawowymi. Od tej pory zaczęły się owe przemile wizyty i wówczas halli przyległy do piwnalni wypełnia gwar cieniutkich głosików szkolnej dziatwy, która za chwilę zanurzy się w wodzie pięknego basenu, by uczyć się pod opieką instruktora prawidłowych ruchów żabki lub cawla.

Sidło, Radziwonowicz, Ciachówna, Mach, Roj, Liciś, Radzio, Chrzęszczówna, Fortecki — nie zdążyliśmy wyliczyć nazwisk wszystkich znanych sportowców, których każdego dnia można zobaczyć w salach wykładowych jak śleczą nad książką. Na ogół uczą się dobrze, bo wieść o każdym oblanym egzaminie słynnego asa przebiega w mgnieniu oka te mury; często wychodzi poza nie. Dociera do dostojnych gabinetów GKKF i redakcyjnych pokoi.

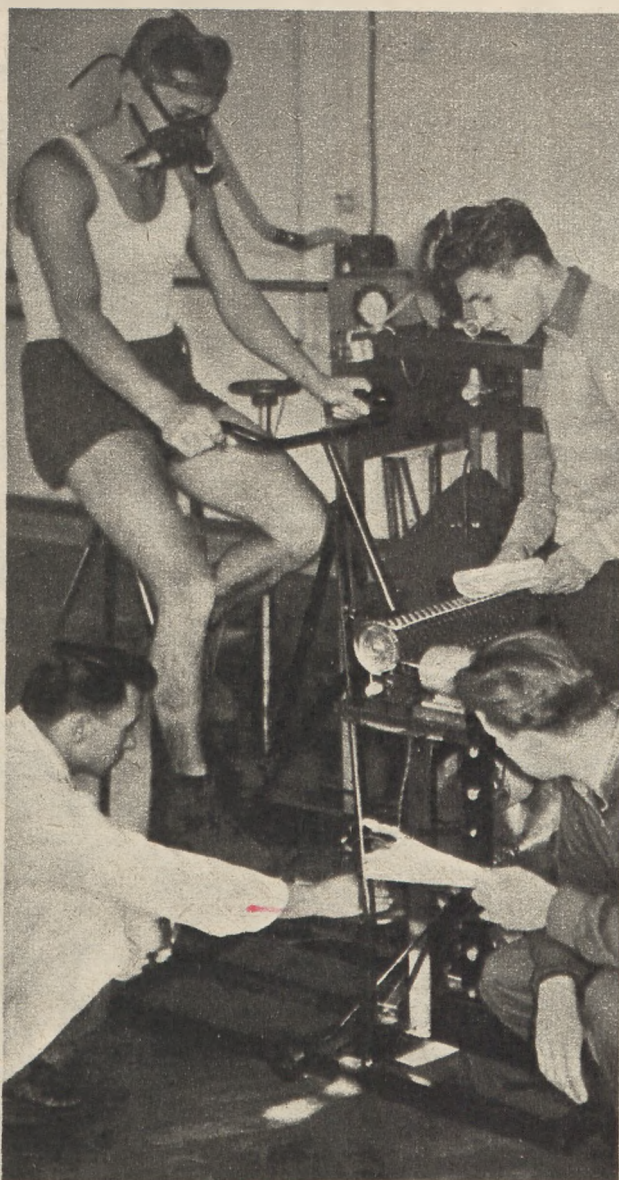
Niekiedy sława zdobyta na boisku traci na blasku, kiedy mistrz... ani be ani me przy tablicy... Ale na ogół hasło — pierwsi w sporcie, pierwsi w nauce — znajduje pokrycie na Bielanach.

Każdy z nas, kiedy zwiedza po raz pierwszy AWF, natychmiast kieruje pierwsze kroki na główne boisko, którego bieżnia gościła nieraz słynnych mistrzów. Odbywali na niej ostatnie treningi przed startem na stadionie WP. Kiedyś rozgrzewał się tu mistrz olimpijski, Fin Hoeckert, będąc przejazdem w Warszawie; nieraz przemierzał tę bieżnię Janusz Kusociński, w ostatnich latach trenowali na niej Zatopek, Bułańczyk, Jungwirth i Kazancew.

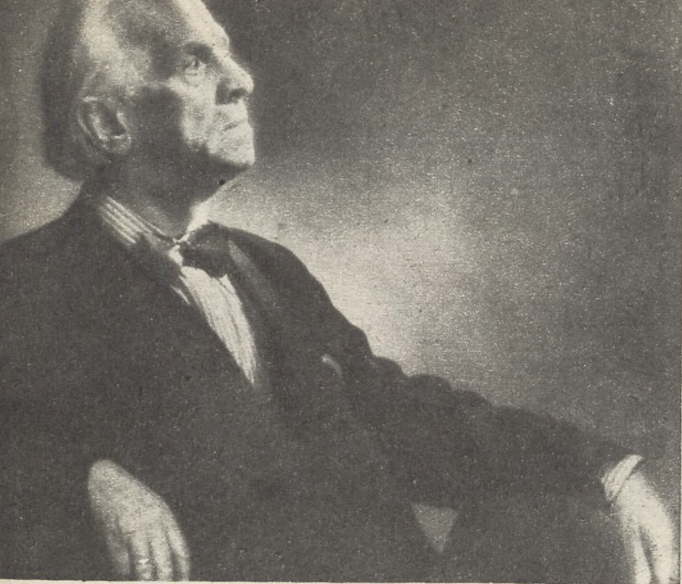
Miłośników wspomnień spotka teraz jednak zawód: bieżnia bowiem nie istnieje. Jest rozkopana; gruntowny remont ma dać jej idealną elastyczność. W przyszłości będzie należeć do najszybszych w Polsce. AWF chce szczyścić się nie tylko najlepszą kadrą wykładowców i wychowawców, trenerów i wychowanków, lecz zmierza również do tego, aby posiadać najidealniejsze — wzorcowe urządzenia i sprzęt sportowy.

Treningi miejscowych biegaczy odbywają się więc na innych bieżniach. I kiedy tylko wstanie cieplejszy dzień niepodobny do listopadowej szarugi — na czarnym żużlu bielańskich bieżni pochylają się sylwetki sprinterów. Nieruchomieją na chwilę, by nagle poderwać się do startu.

Mkną szybko zgrabne postacie chłopców i dziewcząt, choć wszędzie już późna jesień, która jednak w tych murach ma zawsze coś z wiosny.



„Dziwny rower”, którego tajemnicę zdradził nam prof. Missiuro. Badanie tzw. kosztu energetycznego wysiłku sportowego, lub prościej: obliczanie ilości zużytych kalorii podczas „jazdy” na określonym dystansie.



WŁADYSŁAW GRABOWSKI

JUBILEUSZ WŁADYSŁAWA GRABOWSKIEGO



Władysław Grabowski w roli Orgona w „Świętoszku” Mollera, granym z wielkim powodzeniem w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi w 1945 r.

PIECDZIESIĄT lat pracy Władysława Grabowskiego — to pasmo sukcesów scenicznych, osiąganych zawsze usilną pracą, sumiennością artystyczną, niepospolitym i oryginalnym talentem. Wszystkie te cechy, wraz z osobistym wdziękiem artysty, uczyniły z galerii kreowanych przezeń ról jeden z ciekawych i indywidualnych rozdziałów historii aktorstwa polskiego, a szczególnie warszawskiego.

Obdarzony świetnymi warunkami zewnętrznymi i wyrazistym głosem, wzbudzał Grabowski zainteresowanie już od swego debiutu. Szybko dopracował się szerokiej skali możliwości aktorskich — od dramatu do komedii, od lirycznego kochanka do groteskowej postaci farsowej. Pierwsze swe sukcesy święcił w „Fantazym” i „Mazepie” Słowackiego, w „Weselu” Wyspiańskiego, w komediach Fredry i Mollera.

Właściwa Grabowskiemu tendencja do grotesku sprawiła, że powierzano mu coraz częściej role komiczne, buffo i charakterystyczne. Jednocześnie grał typowych amantów, interpretując postacie te bardzo indywidualnie, w czym pomagała mu cechująca go umiejętność wygrywania zarówno dowcipu słownego, jak i sytuacyjnego. W latach późniejszych przechodził artysta do ról zdecydowanie charakterystyczno-komicznych.

Aby przypomnieć najważniejsze tylko osiągnięcia Grabowskiego do roku 1939 należy wymienić kreacje Papkina w „Zemście”, rotmistrza w „Damach i huzarach”, Gustawa i Albina w „Ślubach panińskich” Fredry, Zbyszka w „Moralności pani Dulskiej” i Fedyckiego w „Ich czworo” Zapolskiej, Fikalskie-

go w „Domu otwartym” i Wygodnickiego w „Klubie kawalerów” Bałuckiego, Wicka w „Wicku i Wacku” Przybylskiego, Prokuratora w „Wilkach w nocy” Rittnera, Janka Topolskiego i Olszewskiego w „Lekkomyślniej siostrze” Perzyńskiego, Chlestałowa w „Rewizorze” Gogola, Fortunia w „Świeczniku” Musseta, Malvoglia i Chudogębę w „Wieczorze trzech króli” Szekspira, Blunschila w „Zołnierzu i bohaterze” Shawa, barona Kalba w „Intrydze i miłości” Schillera.

Po wyzwoleniu widzimy Grabowskiego od roku 1945 w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi, a od roku 1950 w odbudowanym Teatrze Narodowym w Warszawie. Na okres ten przypada znowu kilka nowych postaci komediowych, rysowanych z mistrzostwem świetnego aktora, z właściwym Grabowskiemu poczuciem stylizowanego humoru i oryginalnym dowcipu, jak: Orgon i Pan Zgoda w „Świętoszku” Mollera, Dyndalski w „Zemście”, Don Guzman Gaska w „Weselu Figara” Beaumarchais, Belzebub w „Igraszkach z diablem” Drdy i Chłopow w „Rewizorze” Gogola.

Obok tych, tak dla jego wieloletniej twórczości scenicznej (typowych postaci, kreuje artysta dwie wielkie role dramatyczne, nasycone szczerością uczuć i na wskroś ludzkim tragizmem. Te role to Venture w dramacie Stefana Zeromskiego „Sulkowski” oraz Stańczyk w sztuce Haliny Auderskiej „Rzeczpospolita zapłaci”. W roli Stańczyka także obchodzić będzie Grabowski swój piękny jubileusz pięćdziesięcioletniej pracy na scenie polskiej.

JERZY MACIERAKOWSKI

ROZWIĄZANIE KONKURSU „9 PRZYKŁADÓW”

8 LISTOPADA upłynął termin nadsyłania rozwiązań w konkursie „Świata”, zatytułowanym „9 przykładów”. 12 listopada wpłynęły ostatnie, w terminie jeszcze wysłane, rozwiązania konkursu. Dziś można już podsumować jego wyniki.

Jak należało przypuszczać — konkurs wzbudził wśród Czytelników duże zainteresowanie. Wielu nawet listownie i telefonicznie prosiło o podanie, w jakich numerach „Świata” znaleźć można konkursowe zdjęcia... Oczywiście na wszystkie te prośby trzeba było odpowiedzieć odmownie — Redakcja nie ma prawa zdradzać tajemnicy konkursu.

Nie było to zresztą potrzebne. Ogromna większość Czytelników potrafiła powiązać radziecki przykład w jakiejś dziedzinie z odpowiednim osiągnięciem u nas. Dowodem tego jest stosunkowo duża ilość trafnych i pełnych odpowiedzi. Oto dane liczbowe:

Ogółem w konkursie naszym wpłynęło 3312 odpowiedzi. W tej liczbie odpowiedzi pełnych było 701, co stanowi 21,2% ogólnej ilości; odpowiedzi trafnych 1798 (57,3%), błędnych zaś 813 (24,5%). Warto zaznaczyć, że te ostatnie zawierały zazwyczaj 1, rzadziej 2 błędy. Ale cóż, trzeba je było dyskwalifikować...

Wyjaśnić należy jeszcze podział odpowiedzi na pełne i trafne. Otóż w wypadku np. zdjęcia Henryka Kowala uważaliśmy za trafna odpowiedź, która brzmiała: „hutnik Henryk Kowol” albo „Henryk Kowol, wytopiacz”. Pełna zaś odpowiedź winna była brzmieć: „Henryk Kowol, inicjator szybkościowych wytopów, poseł na Sejm PRL”. Podobne różnice występowały i w innych odpowiedziach.

Jasne jest, że warunkom konkursu całkowicie odpowiadają jedynie pełne odpowiedzi. Dlatego w losowaniu pierwszych 20 nagród brali udział tylko ci Czytelnicy, którzy takie odpowiedzi nadesłali. Natomiast w losowaniu dalszych 40 nagród książkowych wzięli udział Czytelnicy-autorzy odpowiedzi zarówno pełnych, jak i trafnych.

Listę 60 laureatów naszego konkursu ogłosimy w najbliższym numerze.

A oto prawidłowe, pełne rozwiązanie zadań konkursowych:



A-Nr 7 Obsługiwana przez dzieci kolejka w miasteczku dziecięcym Podgórze



B-Nr 1 Państwowy Zespół Mazowski



C-Nr 5 Henryk Kowol, inicjator szybkościowych wytopów, poseł na Sejm PRL



D-Nr 8 Zakłady „Ursus” pierwsze w Polsce zastosowały młoty kołowe



E-Nr 9 W Pałacu Młodzieży im. Bolesława Bieruty w Stalino



F-Nr 3 Krajowa Narada Spółdzielczości Produkcijnej w lutym 1953 r.



G-Nr 2 Wczasy pracownicze w Zaskopanie



H-Nr 4 Miasto dla hutników i kombinat Nowa Huta



I-Nr 6 Odbudowane zabytkowe śródmieście Gdańskie

FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

OTO SA I GŁOWY PIASTÓW

W 43 numerze tygodnika „Świat” ukazała się korespondencja o zamku piastowskim w Brzegu i o rzeźbach Piastów, umieszczonych tam nad portalem. Autor notatki: zalecał historykom sztuki zainteresowanie się tymi rzeźbami i porównanie ich z portretami królów polskich, malowanych przez Jana Matejkę.

Otóż... zamek w Brzegu jest już zbadany i doczekał się nawet naukowego opracowania. Z polecenia Dyrektora Śląskiego Muzeum Historycznego, dr M. Haisiga, który bada polskość Śląska, wykonałam fotografie fasady zamku oraz opracowałam jego fragmenty, a zwłaszcza popiersia śląskich władców piastowskich. Nie jest więc tak, jak pisał poprzedni korespondent, że „głowy królewskie czekają i są przygotowane na każde zdjęcie, zarówno na czas, jak i na migawkę”. Możliwość zdjęcia na czas odpadła, gdyż, aby sfotografować rzeźby umieszczone na wysokości drugiego piętra, musiałam wdrapać się na starą drabinę strażacką, która chwiała się za każdym podmuchem wiatru. Mogłam więc tylko wykonać zdjęcie na migawkę.

Budowniczymi renesansowego zamku piastowskiego w Brzegu Dolnym są Włosi: Franciszek Paar i jego bracia, sprowadzeni na Śląsk gdzieś w połowie XVI wieku. Jednak najbogatsze dekoracje rzeźbiarskie, a więc portrety władców piastowskich oraz postaci ostatniego księcia legnicko-brzeskiego, Jerzego Wilhelma II i żony jego Barbary — są raczej dziełem rzeźbiarza, pochodzącego ze słynnej wówczas na Śląsku rodziny Waltherów.

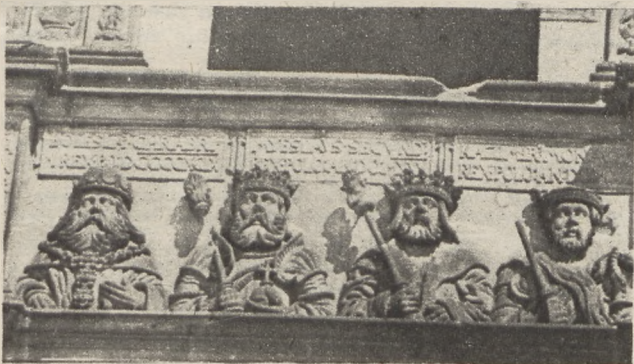
Korespondent, Wacław Wysocki, którego notatkę uzupełniał i z którym potrosze dy-



Fasada zamku piastowskiego w Brzegu.

skutuję, przypuszczać, że gdyby Matejko znał te rzeźby, mógłby się na nich wzorować przy malowaniu portretów. Jest to jednak wątpliwe, gdyż — jak łatwo można się domyśleć — Piastowie śląscy nie pozwaliłi bynajmniej osobom rzeźbiarzom w czasie jego pracy. Głowy Piastów w zamku brzeskim są najprawdopodobniej wytworami fantazji, opartej, być może po części na przekazach tradycji. Zamek i głowy piastowskie w Brzegu są już dość popularne: zdjęcie fasady zamku zamieszczone jest w albumie „Architektury polskiej”. Oglądać ją można również na wystawie Odrodzenia w Warszawie.

Aleksandra Mierzecka, Warszawa



Głowy władców piastowskich umieszczone nad portalem.

NOWY TEATR W WARSZAWIE



W. Stachowicz w roli Koczkariewa i J. Głogowski jako Podkolesin w „Ożenku” Mikołaja Gogola.

Znacie takich aktorów — Wiktora Stachowicza i Józefa Głogowskiego? Pierwszy jest Koczkariewem, drugi Podkolesinem w znakomitej sztuce Gogola „Ożenek”. Nie spotkaliście się jeszcze z tymi nazwiskami? Nic dziwnego, bo Wiktor Stachowicz i Józef Głogowski, to członkowie amatorskiego Zespołu Miłośników Sceny MPK, który niedawno rozpoczął swą działalność w świetlicy tramwajowej przy ulicy Młynarskiej w Warszawie.

Zespół ten, w którego skład wchodzi jeszcze: Jan Sidorowicz, Edward Gąsowski (motorowi), Zbigniew Jankowski (technik drogowy), Halina Niewczarska i Zofia Sierżputowska (buchalterki) — ma ambitne plany na przyszłość. Nosi się z zamiarem wystawienia już w najbliższym czasie „Niemców” Kruczkowskiego, i „Świętoszka” Molière’a.

Mimo trudności (nikła pomoc Rady Zakładowej i czynników kulturalno-oswiatowych), pracownicy tramwajów warszawskich mają nadzieję, że osiągną swój cel i że w przyszłym Festiwalu Zespołów Amatorskich godnie będą reprezentować stolicę. Z zespołem jako reżyser pracuje Tadeusz Jastrzębowski, aktor Teatru Polskiego.

Józef Głóg, Warszawa

MIEDZY NIEBEM A ZIEMIĄ

W jednym z sierpniowych numerów Waszego pisma opublikowano dwa zdjęcia: Alfreda i Henryka Traiberów, akrobatów zachodnio-niemieckich, którzy motocyklem przejechali po linie rozciągniętej nad przepaścią.

Chciałbym przy okazji przypomnieć, że nie jest to pierwszy tego rodzaju wyczyn, ponieważ już przed wojną w warszawskim ogrodzie zabaw „100 pociech” podobny numer wykonywała trupa Blumskich. Wprawdzie akrobaci polscy popisywali się na mniejszej wysokości i na rowerach, ale zasada akrobacji była ta sama.

O ile mi wiadomo, Kazimierz Blumski był właściwie twórcą tego popisu i dopiero później akrobaci zagraniczni zaczęli go naśladować. Należy to podkreślić z tego choćby względu, że prasa zachodni-niemiecka robiąc wiele szumu wokół Traiberów, wbrew prawdzie podaje ich za „wynalazców” tej „mroźnej” krew w żyłach akrobacji.

Jan Czarnocki, Łódź

PROGRAM OTWARCIA

W niedzielę, dn. 8 maja 1936 r.

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ

TRIO BLUMSKY



Blumscy w numerze akrobacyjnym.

PIGŹA — WZOROWE GOSPODARSTWO ROLNE



Zbiór buraka nasienne. Na pierwszym planie Teresa Bryska, przodująca pracownica gospodarstwa w Nawrzy.

PGR w Pigży obok Torunia obejmuje około 20 gospodarstw rolnych o łącznej powierzchni zasiewów ponad 6000 ha. Zespół ten posiada własne, dobrze zorganizowane warsztaty mechaniczne, które przeprowadzają naprawy traktorów, koparek do kartofli, siewników, młocarek. Starszy mechanik, Franciszek Polakowski, uważnie śledzi zawsze przebieg prac remontowych, a potem dokładnie kontroluje funkcjonowanie naprawionych maszyn.

W skład PGR wchodzi również gospodarstwo nasienne w Nawrzy, które prowadzi hodowlę nasion i kultur rolnych, jak np. buraka nasien-

nego, sorgo, rzepaka nasienne i innych. W pracach polnych tego gospodarstwa przodują: Teresa Bryska, traktorzystka — Władysław Jaworski i najlepsza pracownica w okresie siewów — Irena Maciejewska.

Wyróżnia się również gospodarstwo w Różankowie, którego kierownikiem jest Mieczysław Przydatek — do niedawna robotnik rolny. Wzorowymi pracownikami Różankowa jest Maria Szrajer — chlewiarka, która dba o właściwą hodowlę tuczników oraz Stefan Krzysztofowicz, osiagający przy bronowaniu 165% normy.

Feliks Schwalbe, Toruń



Walowanie uprawy pod siew rzepaku ozimego, przeprowadza wzorowy traktorzysta PGR — Władysław Jaworski

POMNIK WDZIĘCZNOŚCI W RADOMIU

Projekt wyszedł od całego społeczeństwa radomskiego; materiał daty — kopalnia kamienia pinczowskiego i kamiennolomy sztytowieckiego piaskowca; pracę — głównie młodzież, ale również pracownicy fabryk i urzędów.

Aby dać godną dla pomnika oprawę, przebudowano cały plac, tworząc zeń centralny punkt miasta. Na obszarze obejmującym 6 ha powierzchni założono park-zieleniec, na którym już wkrótce wyrosnie 3 tysiące drzew. Zasadzono krzewy jaśminu, spireje i bratki, a na włosie zakwitną tu różnobarwne kanny.

Plac Zwycięstwa z górującym Pomnikiem Wdzięczności dla Armii Radzieckiej, oddany do użytku ludności w 38 rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej, jest obecnie najpiękniejszą częścią Radomia.

Anna Skuta, Radom
Fot. M. Włodarkiewicz



Pomnik ten zaprojektował artysta rzeźbiarz Józef Gazy.

MECHANICZNA WYMIANA TORÓW

Dotychczas wszystkie prace związane z wymianą szyn i podkładów kolejowych dokonywano u nas ręcznie. W tym roku po raz pierwszy służba drogowa PKP zaczęła stosować metodę mechaniczną. Jak to wygląda w praktyce?

Przede wszystkim w bazie montażowej układa się i mechanicznie zamocowuje szyny na podkładach. Następnie gotowe już prześia układa się na bramiastych dźwigach i przewozi się na miejsce wymiany przy pomocy specjalnych, dwuosłowych wózków wagonowych. Ma to tę dobrą stronę, iż szyny w czasie takiego transportu nie ulegają skrzywieniu. Gotowe tory układa się teraz na miejsce starych, które rozmontowuje się przy pomocy dźwigów i z kolei odsyła się na tych samych wózkach do bazy montażowej. Dalsza faza robót nie wymaga, jak bywało to dawniej, zamknięcia toru. Nasuwanie oraz podbijanie podkładów odbywa się również w sposób zmechanizowany, przy pomocy specjalnych elektrycznych przyrządów.

Ile czasu i pracy zaoszczędza mechaniczna wymiana szyn i podkładów, jak usprawnia komunikację kolejową — nie trzeba chyba tłumaczyć.

Tomasz Szymaszek, Olsztyn



ZMP-owiec Benek za pomocą elektrycznego przyrządu podbija nowy tor.



Dwa nowo prześia szyn łączą się żelaznymi tępakami.

TABLICA KU CZCI ŚNIADECKICH POWRÓCIŁA DO ŻNIN

Tablicę pamiątkową ku czci braci Śniadeckich, ufundowaną w roku 1938 przez społeczeństwo żnińskie, odnaleziono po wojnie aż w Austrii, skąd rewindykowaną ją do kraju.

W roku bieżącym zajęła ona swe dawne miejsce na murze

gmachu Liceum Ogólnokształcącego im. Śniadeckich w Żninie. Z okazji tej Uniwersytet im. M. Kopernika zorganizował w Żninie publiczną sesję naukową, poświęconą pracy wielkich uczonych i patriotów polskich.

Janusz Księski, Żnin



FOTOGRAFIA NA CODZIEN Z DZIEJÓW FOTOGRAFII

Mówiąc o historii fotografii, zaczynamy zwykle od L. J. M. Nicéphore'a (1777—1823), który w r. 1823 ogłosił metodę wykonywania trwałych zdjęć. Dopiero S. Morozow, uczonego radzieckiego, zwrócił uwagę, iż niesłusznie pominięto zasługi współnika wynalazcy, N. Niepce'a, który 13 lat wcześniej, a więc w r. 1826, wykonał pierwsze zdjęcie fotograficzne (odnaleziono je w r. 1950 w archiwum po sławnym botaniku angielskim, F. Baureze). Zdjęcie to — płytka metalowa o rozmiarach 15 x 20 cm — przedstawia widok z okna pokoju N. Niepce'a w Grasse.

Dzieje fotografii, pisane w krajach zachodnich, z reguły pomijają milczeniem wielki wkład uczonych i techników słowiańskich. A przecież już w latach 1878—1881 rosyjski technik i fotograf, Iwan Bolidyrew, stosując jako podkład światłoczuły emulsji taśm celuloidową. On również skonstruował nowy, o szczególnych zaletach, obiektyw do kamery fotograficznej. W r. 1877 Polak, inżynier Piotr Lebedziński, sporządził trwałe papiery kolodionowe.

Karol Brandel, uczeń i współpracownik Karola Beyera, (znane i cenione go fotografie warszawskie, który od roku 1842 prowadził własny zakład przy ul. Senatorskiej) skonstruował w roku 1881 aparat na negatywy 6 x 9 cm. Aparat Brandla, zwany „fotorewolwerem” lub „brandlówką”, zyskał wielką popularność w Polsce i za granicą, a wynalazcę odznaczono przez cesarza Franciszka Józefa orderem. Aparat posiadał obiektyw o krótkiej ogniskowej, umocowany w ruchomej oprawie, pozwalającej nastawiać ostrość na odległość od 10 kroków do nieskończoności, migawkę tarczową o szybkości 1/50 sek., przysłone i celownik ramkowy.

W rok później rosyjski konstruktor i artysta-fotograf, S. A. Jurkowski, zbudował aparat fotograficzny, wyposażony już w migawkę szczelną, pozwalającą na fotografowanie przedmiotów poruszających się z dużą szybkością. W dziedzinie konstrukcji migawki wielkie zasługi położył również Rosjanin, Włodzimierz Dubik, fotograf moskiewskiego Stowarzyszenia Hodowli Koni. Dubik w r. 1892, a więc na rok przed historycznymi zdjęciami Muybridge'a, na wystawie fotograficznej w Moskwie, demonstrował świetnie uchwycone w ruchu zdjęcia koni podczas zawodów hipicznych.



Żywy nieboszczyk

Z cyklu: „Przygody Pietuchowa”

WŁ. DYCHOWICZNYJ I M. SŁOBODSKOJ

Przekład JÓZEFA BRODZKIEGO

Ilustrował JERZY ZARUBA

NIE spodziewałem się po tobie, towarzyszu Fikusow, po starym urzędniku, podobnej niewybaczalnej lekkomyślności!

Pietuchow srodze dotknięty spojrzał z ubolewaniem na swego zastępcę i pogardliwym ruchem sięgnął po ów nieszczęsny paperek leżący na biurku.

— Więc na podstawie tej notatki proponujesz mi, bym udzielił przepisowego urlopu kalkulatorowi A. I. Bielskiemu i skierował go do specjalnego domu wypoczynkowego dla kobiet, które mają wkrótce zostać matkami? Czy tak?

— Ależ to jest po prostu pomyłka maszynowa, towarzyszu dyrektorze — tłumaczył Fikusow — zwykła pomyłka. Chodzi nie o Bielskiego, ale o Bielską. To jest kobieta, zapewniam towarzysza dyrektora... Przecież sam widziałem!...

— Jest to tylko subiektywne wrażenie — odparł Pietuchow — a przede mną leży oficjalny dokument i figuruje w nim nazwisko mężczyzny!

— Ależ towarzyszu dyrektorze, możecie się sami przekonać — zaproponował Fikusow — ona siedzi w poczekalni... To kobieta... zresztą to jest zupełnie widoczne, że ona istotnie zamierza... Sam jej wygląd wskazuje...

— Wygląd, towarzyszu Fikusow, nie stanowi dostatecznej podstawy do wystawienia skierowania. Wyobraź sobie na jedną chwilę, co by się stało, gdybym polegał na tobie i podpisał to skierowanie? Kalkulator Bielski udaje się do domu wypoczynkowego i tam najspokojniej w świecie przygotowuje się do tego, aby zostać matką. Zabierze swój wygląd ze sobą, a notatka zostaje w aktach. Przyjeżdża rewident, robi z tego całą sprawę i zadaje mi pytanie: „Na jakiej podstawie skierowaliście mężczyznę, by przygotował się do zostania matką?” Nie wiem, towarzyszu Fikusow, co ty byś zrobił ze mną, ale ja za coś podobnego z punktu bym ciebie wyłał!...

Fikusow przerażony tą perspektywą i przytłoczony żelazną logiką rozumowania swego zwierzchnika już nie usiłował się usprawiedliwiać, a Pietuchow — aczkolwiek cenił, a nawet lubił Fikusowa za gorliwość, sumienność i — jak to zwykli mawiać — za „nie przeciwstawianie się”, tym razem postanowił doprowadzić do końca swój wykład z zakresu administracji.

— Nigdy — słyszysz, co mówię — nigdy nie przeciwstawiaj się urzędowemu dokumentowi! — surowo pouczał Pietuchow swojego zastępcę — gdyż słusność będzie miał zawsze paperek, a nie ty! Paperek zostanie, a ty zginiesz! Jestem zresztą przekonany, że to się więcej nie powtórzy — zlagodniał wreszcie Pietuchow — Powierzam ci całe urzędowanie i polegaj na tobie, jak na sobie samym. Jesteś moim uczniem i wierzę, że mnie nie wypsiesz — ale wnioski z tego, co się stało, musisz wyciągnąć.

Fikusow, wciąż jeszcze wylekniiony, podziękował swemu szefowi za zaufanie i Pietuchow ożywiony przyjemnym uczuciem dobrze spełnionego obowiązku opuścił mury swojego urzędu i wyjechał na trzy dni nad brzegi jeziora Ilmeńskiego, gdzie — jak mu to było najdokładniej wiadome — od dwóch dni „walały” ławice łososi.

Ulokowanie się w podmiejskim pociągu było tego wieczoru sprawą bardzo skomplikowaną: Pietuchow na czele grupy miłośników sportu wędkarskiego, trzymając wysoko ponad głowę wędkę i wszelaki sprzęt rybacki, z trudem przecisnął się do wagonu odepchnawszy pewnego podejrzanego osobnika, nie posiadającego ani wędkę, ani kubałka, a który dłuższy czas przepychał się tuż obok niego, przeszkadzając Pietuchowowi umocnić się na pozycji, którą zdobył na platformie wagonu.

Kiedy pociąg już ruszył, Pietuchow z uczuciem satysfakcji, nie pozbawionej zjadliwości, zauważył, że ów natrętny osobnik został jednak na peronie.

Następne trzy doby minęły niemal niepostrzeżenie. Dopiero w poniedziałek wczesnym rankiem Pietuchow ocknął się z owego czarownego, rybackiego snu i powrócił do codziennej rzeczywistości. Ten powrót nie należał do najprzyjemniejszych — znalazłszy się bowiem przy kasie biletowej na dworcu Pietuchow stwierdził, że zgubił swój pugilares.

Znanyemu wędkarz pożyczyl mu pieniądze na bilet powrotny i Pietuchow wrócił do miasta nieco zaniepokojony. Wprost z dworca udał się do swego urzędu, by niezwłocznie napisać odpowiedni raport i prosić o wydanie mu nowego dowodu osobistego, jako też innych dokumentów.

Pietuchow przyszedł do swego biura pół godziny przed rozpoczęciem urzędowania. W pustym pokoju sprzątaczką — „ciocia Pasza” — lawirowała z kubkiem i ścierkami pomiędzy ciasno ustawionymi obok siebie biurkami.

Ujrawszy Pietuchowa zbladła, wydała cichy okrzyk i szepnęła: „Co się dzieje!”

Zaferowany Pietuchow nie zwrócił uwagi na dość niezwykły sposób, w jaki został przywitany, i rzuciwszy po drodze „Dzień dobry” udał się do swego gabinetu.

Otworzywszy szeroko drzwi, Pietuchow zbladł i cofnął się.

Obok jego majestatycznego biurka na dwóch fotelach, na których zazwyczaj siadali interesanci, leżały

wspaniałe wieńce. Na jednej ze wstęg, zwisającej na poręczy, Pietuchow przeczytał: „Towarzyszowi Pietuchowowi od pograżonych w smutku kolegów”. Na ścianie naprzeciwko drzwi wisiał jego własny portret — powiększone zdjęcie fotograficzne — w ramie owiniętej krepą żałobną.

Pod portretem, przy biurku siedział Fikusow z twarzą spuchniętą od płaczu i coś pisał...

— Co to... co to jest? — zapytał przerażony Pietuchow i wszedł do gabinetu.

— Przecież prosiłem, żeby mi nie przeszkadzać... — odburknął z niezadowoleniem Fikusow i podniósł wzrok znad papierów. W tej samej chwili zbladł i opadł na oparcie fotela.

— Co to znaczy? — zawołał surowo Pietuchow przyszedłszy do siebie. — Zameldować, co się tutaj dzieje.



— Czy to rzeczywiście wy, towarzyszu Pietuchow? — zapytał nieśmiało Fikusow.

— Oczywiście, że ja! Któż by inny?

— Czy mogę was dotknąć ręką?

— Proszę bardzo...

Fikusow z zachowaniem ostrożności, jak gdyby obawiając się, że się sparzy, dotknął Pietuchowa, z początku ramienia, później piersi, a potem nagle chwycił go w ramiona.

— To wy! We własnej osobie! Żywy! Jaka nieoczekiwana radość! Straszliwe, fatalne nieporozumienie!

Pietuchow nieco zniecierpliwiony uwołał się z objęć swego zastępcy i zażądał wyjaśnień, ale Fikusow z radością i na skutek przeżytego wstrząsu wciąż jeszcze nie mógł przyjąć do siebie. Podał Pietuchowowi leżący na stole paperek, a sam podczas odczytywania go przez Pietuchowa, raz po raz rozkładał ręce.

Dokument, który Pietuchow właśnie odczytywał, był protokołem milicji, stwierdzającym urzędowo fakt tragicznej śmierci obywatela Pietuchowa Siemiona Daniłowicza, kawalera, urzędnika, urodzonego w 1906 roku.

Zgodnie z protokołem wspomniany obywatel w czwartek, 16 bieżącego miesiąca, o godzinie dwudziestej minut siedem, wychodząc w pośpiechu z budynku dworca został potrącony przez samochód ciężarowy N SU-3247. Poszkodowany został przewieziony do najbliższego szpitala, gdzie, nie odzyskując przytomności, zakończył życie. Znalezione przy nim pugilares z pieniędzmi i dokumentami pozwolił na niezwłoczne ustalenie tożsamości poszkodowanego, czego ze względu na doznane obrażenia ofiary wypadku nie dałoby się osiągnąć inną drogą.

Pietuchow przypomniał sobie w tej samej chwili owego podejrzanego osobnika, który przepychał się obok niego podczas wchodzenia do wagonu, skojarzył tę okoliczność z zaginięciem portfelu — i obraz jego rzekomej śmierci stał się dla niego zupełnie jasny.

Pietuchow możliwie najzwięźle opowiedział o tym wszystkim Fikusowowi, i kiedy niezmiernie wstrząśnięty Fikusow wreszcie uprzytomnił sobie, że to nie Pietuchow zginął w wypadku samochodowym, lecz ów złodziejaszek, który skradł Pietuchowowi portfel — z oczami pełnymi łez ucałował swego przywróconego do życia szefa.

— A myśmy — przemówił — a myśmy... już poczynili wszystkie przygotowania, aby wam złożyć ostatni hołd... Kupiliśmy wszystko, co trzeba... — przy czym zmieszany wskazał na niezwykle dekorację gabinetu.

— Owszem, portret wcale niezły, reprezentacyjny — pochwalił Pietuchow. — Ale jeżeli chodzi o wieńce, to szanowni koledzy nie bardzo się wykostnowali... — dodał, wachając bez uznania swoje nagrobne kwiaty. — Już ja im to przypomnę. Bądź co bądź nie codziennie umiera taki jak ja urzędnik... A jaki jest nekrolog?

— Właśnie go pisałem, kiedy... wy, towarzyszu... ożyłście... proszę, rzućcie okiem... sprawi wam to przyjemność!

— Daj!

I oto Pietuchow zaczął odczytywać własny nekrolog, robiąc z przyzwyczajenia na marginesie czerwonym ołówkiem kreseczki i różne uwagi.

— To zakończenie — przemówił po skończeniu czytania — ten zwrot: „Żegnaj, Pietuchow! Żegnaj, ukochany Siemionie!”, jako myśl wcale niezła, ale trochę za dużo poufale! A na początku lepiej byłoby powiedzieć nie „odszedł od nas”, ale „nieubłagana śmierć wydarła go z naszych szeregów...”. Na ogół, towarzyszu Fikusow, wypadłoby trochę cieplej, nie tak oschle... Ja bym o tobie mocniej napisał!

Fikusow uznał słusność zarzutów, o ile chodzi o pewną oschłość nekrologu, i odruchowo przyrzekł naprawić w przyszłości to uchybienie.

Pietuchow uważał, że incydent został wyczerpany, i już miał zamiar usadowić się na swoim miejscu pracy, przy biurku, kiedy Fikusow nagle palnął się w czoło i spojrzawszy z lękiem na Pietuchowa, zawołał:

— A trumna?

— Niby jaka trumna? — zapytał ze zdziwieniem Pietuchow, podnosząc do góry brwi.

— Trumna została wciągnięta przez buchalterię jako pozycja wydatków, przeciwko obstarłowej trumnie. I nawet zrobiłem już przelew... Jak ja ją teraz wyprowadzę z rachunkowości? — po czym spostrzegłszy, że jego zwierzchnik w dalszym ciągu okazuje pewne zdziwienie, Fikusow tłumaczył mu: — Bo gdyby po grzeb się odbył, nie byłoby tych komplikacji, a teraz...

— A teraz — najspokojniej w świecie przerwał mu Pietuchow — pochowanie w tej trumnie tamtego poszkodowanego, którego pomyliliście z moją osobą, i cała sprawa będzie załatwiona!

— Jakże można w podobny sposób rozumować? — zdziwił się z kolei Fikusow. — Trumna była przeznaczona dla was obojgu... Zadnej obcej osoby nie mam prawa w niej pochować.

— Dobrze. W takim razie — powiedział Pietuchow katorycznym tonem — po prostu skreślimy z pozycji trumnę jako już zbyteczną. Gdzie jest książka inwentarzowa? Daj, podpiszę.

Fikusow ociągał się:

— To jakoś nie bardzo zręcznie wypadnie, towarzyszu dyrektorze. Na razie wasz podpis jest nieistotny...

— Dlaczego?

— Dlatego, że... — Fikusow zaczął się, dobierając słów dla sformułowania swej myśli. — Dlatego, że wy, towarzyszu, urzędowo biorąc, nie jesteście jeszcze zupełnie żywy... I w związku z tą okolicznością — bardzo was za to przepraszam — musiałem was zwolnić z pracy.

— A to co znowu? — rozłożył ręce Pietuchow. — Na jakiej podstawie?

— Na podstawie raportu milicji — wyjaśnił Fikusow. — Podałem was do wydziału personalnego jako zmarłego.

— Do diabła, co za nonsens! — splunął Pietuchow, zirytowany zbytnim pośpiechem swego zastępcy i perspektywą straty czasu na restytuowanie swojej osoby jako żyjącego dyrektora wydziału.

Pietuchow nie odezwał się już ani jednym słowem do Fikusowa, trzasnął obrażony drzwiami i udał się wprost do kasy.

Fikusow westchnął ciężko i załamał ręce z bólem. Zresztą nie gniewał się wcale na Pietuchowa, licząc się z wzburzonym stanem, w jakim się znajdował jego przełożony.

Tymczasem Pietuchow miotał gromy w buchalterii. Kasjerka, która zdążyła już nieco oprzytomnieć po wstrząsie, jaki spowodowało nagłe pojawienie się Pietuchowa, odmówiła wypłacenia mu pensji miesięcznej, powołując się na „ptaszka”, którego obojgu nie pozostało Fikusow na liście płacy.

Pietuchow musiał więc ponownie udać się do swego zastępcy.

— Całkiem słusznie! — powiedział Fikusow. — Obecnie waszą pensję, towarzyszu dyrektorze, mogą podjąć jedynie wasi spadkobiercy...

— Natychmiast odwołaj swoje idiotyczne zarządzenie! — zawołał Pietuchow nie panując już nad sobą. — Odwołaj zarządzenie i niezwłocznie wydaj nowe o moim powrocie do pracy!

— Towarzyszu Pietuchow... rad bym... przecież sami wiecie... z całego serca rad bym — ale na jakiej podstawie?

— Jaka podstawa jest ci potrzebna, cymbale jeden, skoro ja tu stoję — żywy i zdrowy! Możesz mnie obmacać, jeżeli chcesz! — wściekał się Pietuchow. Po jego niedawnej dobroduszości nie pozostało nawet śladu.

— Proszę was, nie denerwujcie się, towarzyszu dyrektorze — odparł łagodnie Fikusow, nie mając bynajmniej zamiaru obmacywać swego szefa. — Jestem przekonany, że w przyszłości ekspertyza stwierdzi, że istotnie nie jesteście, towarzyszu Pietuchow, nieboszczykiem, ale dokument jest dokumentem. Dopiero niedawno sami pouczaście mnie w tym



sensie i nikt nie może zmusić — ani mnie, ani was — do ignorowania urzędowej dokumentacji... A o ile chodzi o pensję — dodał Fikusow z udaną otuchą w głosie — dacie sobie, towarzyszu, jakos na razie radę, a później, kiedy uznają was za żywego, od razu dostaniecie za parę miesięcy...

— Za parę miesięcy... przecież ja z głodu umrę! — zawołał Pietuchow.

— Nie radziłbym! — odparł Fikusow surowym tonem. — Ogromnie skomplikowałbyście całą sprawę.

— Więc co ja mam robić? — zawołał Pietuchow padając zrozpaczony na fotel, przeznaczony dla interesantów.

— Aby restytuować siebie jako żyjącego, musicie przedłożyć urzędowo potwierdzone zaświadczenie, które stwierdzi, że — po pierwsze: to nie wy jesteście nieboszczykiem, a po drugie, że nieboszczyk — to nie wy...

— Skądże ja wezmę takie zaświadczenie? — zawołał w zdenerwowaniu Pietuchow. — Z milicji? Przecież im trzeba przedstawić zaświadczenie z miejsca pracy!

— Jeżeli o to chodzi, to proszę bardzo! Zrobię wszystko, co ode mnie zależy... wydam każde zaświadczenie!

Fikusow z całą gotowością przysunął do siebie stertę blankietów służbowych i szybko zaczął pisać:

„Okaziciel niniejszego, tow. Pietuchow I. D., zmarły 16 b. miesiąca...

— Co ty wypisujesz! — z rozpaczą w głosie krzyknął Pietuchow — Przecież na podstawie zaświadczenia, że umarłem, nie wydadzą mi zaświadczenia, że żyję! Przecież to jest niemożliwe! Napisz im, że ja żyję!

Fikusow odsunął papiery i spojrzał na Pietuchowa zdziwionym, a nawet nieco obrażonym wzrokiem:

— Czyli chcecie, towarzyszu dyrektorze, abym ja, mając meldunek o tym, że umarliście, sam napisał, że wy żyjecie? Przecież sami mówicie, że to jest niemożliwe!

Pietuchow wstał i otarł z czoła zimny pot.

— Pal cię diabli! — powiedział stanowczym głosem. — Pójdę i wezmę zaświadczenie z miejsca zamieszkania...

— Ale przecież wy, towarzyszu Pietuchow, nie macie już miejsca zamieszkania! — również z rozpaczą w głosie zawołał Fikusow.

— Jak to nie mam? — znieruchomiał Pietuchow. — A moje mieszkanie?

— Wasze mieszkanie, towarzyszu dyrektorze, kazałem już oczywiście opieczetkować — z zakłopotaniem tłumaczył gorliwy zastępca. — Skreślono was z listy lokatorów. Zrozumcie, że przecież nie mogłem zachować urzędowo przydzielonego mieszkania dla kogoś, kto — przepraszam was bardzo — nie żyje. Niechby przyszła najmniejsza kontrola i wtedy... przepadłem! — Przepadłem! — jak echo powtórzył Pietuchow, opadając na fotel.

Naraz uprzytomnił sobie najdokładniej, że zaczarowane koło zamknęło się: formalnie rzecz biorąc — był trupem, i ani on, ani Fikusow nie potrafili znaleźć sposobu, by przywrócić jego, Pietuchowa, do liczby ludzi żyjących.

Wszakże uczynił jeszcze jedną próbę:

— Posłuchaj, Fikusow — przemówił jak gdyby zza grobu płynącym głosem — zechciej jednak wejść w moje położenie... Wyobraź sobie, że ty jesteś na moim miejscu...

— Akurat! Komu jest tak dobrze jak wam, towarzyszu Pietuchow! — westchnął z zazdrością Fikusow. — Umarliście dla wszystkich, nawet dla najwyższej kontroli... Jesteście w porządku... A teraz zechciejcie wejść w moje położenie: przecież mnie za coś podobnego łeb ukręca!

Fikusow znów westchnął i z goryczą w sercu zaczął się zastanawiać.

— Ale w jaki sposób ja mam restytuować siebie, jako żyjącego człowieka? — zawołał Pietuchow wyciągając z gestem pełnym rozpaczony ręce ku własnemu żalobnemu portretowi. — Jak?

— Wiem! Wiem! — krzyknął nagle jego oddany zastępca i nawet zerwał się z miejsca. — Napiszcie szczegółowy meldunek na ręce prezesa — zawołał radośnie. — Prezes, to nie ja i nie wy. Nas mogą zwolnić z pracy za samowolne wydawanie zarządzeń, a prezesów usuwają za coś innego: za nie liczenie się z potrzebami żywego człowieka. Na szczęście to jest właśnie wasza sprawa: władze zwierzchnie powinny okazać ludzki stosunek i uznać was za żywego. Zobaczycie, że prezes wyda nam polecenie potraktowania was z powrotem jako żywego człowieka. Prezesi też nie lubią, kiedy się ich pozbawia stanowiska...

Podniesiony na duchu przemówieniem swego zastępcy, Pietuchow zasiadł przy swoim dyrektorskim biurku i zaczął coś szybko pisać.

Minęła z górą godzina i szczegółowy meldunek na ręce Makarowa, przewodniczącego Rady Miejskiej, został skierowany do adresata.

Meldunek kończył się słowami:

„Proszę o wydanie mnie i mojemu zastępcy zarządzenia o uznaniu mnie, począwszy od niniejszej daty, za żywego — po czym będę mógł przystąpić do pełnienia moich obowiązków...”

Kiedy po upływie godziny koperta z meldunkiem wróciła, Pietuchow, drżąc z niecierpliwości, wyrwał ją z rąk gońca, wyjął z koperty swój obszerny meldunek i zaczął pośpiesznie przerzucać kartki w poszukiwaniu adnotacji przewodniczącego, czynionych zazwyczaj przez niego na marginesach.

Pietuchow znalazł wreszcie decyzję Makarowa na samym końcu swego meldunku, tuż obok jego ostatniego ustępu.

Decyzja zawierała zaledwie parę słów:

„Uważać za żywego. Wracać do pełnienia obowiązków nie należy”.

Pietuchow zdrętwiał i znów runął na fotel przeznaczony dla interesantów.

Jeszcze przed godziną oficjalnie nie żył i dlatego wszystkie perypetie kariery urzędniczej były dla niego całkowicie obojętne.

Natomiast teraz żył — i cierpiał.

SWIAT

o tym wie!

ADENAUER — DYKTATORSKI DEMOKRATA

Dziennik „New York Times”, w numerze z dnia 20 września 1953 roku, w depeszy własnego korespondenta z Bonn podaje taką oto charakterystykę Herr Adenauera:

The New York Times

REG U S PAT OFF

"All the News That's Fit to Print"

SUNDAY, SEPTEMBER 20, 1953.

There is no doubt that Dr. Adenauer is authoritarian in the way he runs his Government, and one high foreign official said this week, "He now has an absolute dictatorship." But the same man hastened to add, as did many others, that Dr. Adenauer is not a totalitarian but a genuine and sincere democrat.

„Nie ulega wątpliwości, że dr Adenauer kieruje swym rządem w sposób samowładny (authoritarian) i pewien wysoki dygnitarz zagraniczny oświadczył w tym tygodniu: „Jest on (Adenauer) absolutnym dyktatorem”. Ale ten sam dygnitarz pośpiesznie dodał, podobnie jak to czynią inni, że dr Adenauer nie jest totalistą, lecz prawdziwym i szczerym demokratą”.

Rozumiemy. Tak jak jego poprzednik.

HUMANITARYŚCI

Tygodnik „Newsweek” z dn. 28 września br. donosi:

„Aby stworzyć kojącą i przyjemną atmosferę dla skazanych lokatorów, cele

śmierci w więzieniu Sing-Sing w Ossining (stan New York) zostały przemalowane na odcień pastelowo-zielony”.

Wzruszające.



KAISER WILHELM II
A past was erased.

Dziadzio nasywał się Kajzer Wilhelm II

AMERYKAŃSKA MITOLOGIA

Adonis był, jak wiadomo, ulubieńcem bogini Wenus. Natomiast Joe Adonis, król gangsterów z New Jersey, jest beniaminkiem amerykańskiej policji. Przez długie lata robiła ona wszystko, aby wygładzać nieco wyboistą drogę życia swego pupila. Ten jednak rozzuchwalał się nieco ponad miarę i rozłąka z kompromitującym amantem stała się nieunikniona.

I oto władze amerykańskie zamierzają deportować Adonisa do Włoch, które miały nieszczęście być jego miejscem urodzenia. I jak myślicie, za co ta deportacja? Za mor-



derstwa, kradzieże, oszustwa? Ale skąd! Król gangsterów oskarżony jest o to, że 17 lat temu wrócił do USA z podróży na Kubę bez ważnego paszportu. Mimo wszystko Wenus nie była chyba tak okrutna dla swojego Adonisa...

KOTA NIE MA...



Kota nie ma — myszy tańczą — głosi stare przysłowie. Sprawdziło się ono niedawno raz jeszcze, i to nie byle gdzie, bo w rezydencji samego premiera brytyjskiego, w Londynie, przy Downing Street 10. Kot Sir Winstona Churchilla wyszedł był właśnie na codzienną przechadzkę, a kiedy wrócił — zastał drzwi zamknięte (jak to widać na zdjęciu Associa-

ted Press, opublikowanym m. in. w dzienniku „New York Times” z dnia 9 października 1953 roku). A tymczasem za tymi właśnie zamkniętymi drzwiami obradowali pp. Winston Churchill i amerykański Sekretarz Stanu, John Foster Dulles. Korzystając z nieobecności kota, myszy znów podgrzały się pod europejski bokółki.

ŻYCIE WYTWORNE

„Raz maleńka Fryderyka miała dziadzia tabetyka” — pisał kiedyś Boy-Zeleński. Tym razem jednak dziadzio nazywał się Kajzer Wilhelm II, a pod jego zdjęciem amerykański tygodnik „Time” podpisał znacząco: „Przeszłość została zartarta”.

Wnuczka, której tygodnik poświęca wiele uwagi, nazywa się: Fryderyka Luiza Thyra Victoria Małgorzata Zofia Olga Cecylia Izabella Krystyna księżniczka Hanoweru, Brunzwiku i Lueneburga — a jest obecnie królową Grecji. W związku z jej wizytą w Stanach Zjednoczonych tygodnik stara się zareklamować ją publiczności. Aby nie przyćmiła jej sława innego znakomitego gościa USA — Konrada Adenauera — „Time” pisze, że trzej bracia Fryderyki (na zdjęciu: Fryderyka z dwoma braćmi w mundurach młodzieży hitlerowskiej) służyli wiernie Hitlerowi jako oficerowie Wehrmachtu, a ona sama, jeszcze jako uczennica na „pensji dla panien z dobrych domów” we Florencji, żarliwie propagowała wiarę w Hitlera.

Tygodnik rozczuła się dalej nad „biedną królową, której na całą podróż do Stanów musi starczyć zaledwie tuzin kapeluszy i tuzin par butów, a wreszcie przypomina wywiad, udzielony przez królową reporterowi „Life” przed trzema laty. W wywiadzie tym Fryderyka opowiedziała jak (przepędzony tymczasem) król Egiptu — tłusty Faruk, dybał na jej cnotę podczas wizyty dworskiej(!) w Kairze. Dreszczyk przechodzi, kiedy się czyta, że Faruk już nawet zgasił światło, ale opamiętał się, gdy dzielna Fryderyka powiedziała mu: „Ten bardzo wielki

chłop w mundurze marynarskim — to mój mąż...”

Naszego zdjęcia Fryderyki z braćmi spod znaku swastyki, czytelnicy prasy amerykańskiej nie ujrzą. Królowa przechadza się teraz po salonnach Białego Domu, albowiem — jak pisze o dziadziu „Time” — „przeszłość została zartarta”.



Trzeci brat też służył Hitlerowi



Dyrekcja: JAN SZELĄG
Dekoracja i kostiumy: NA-GA

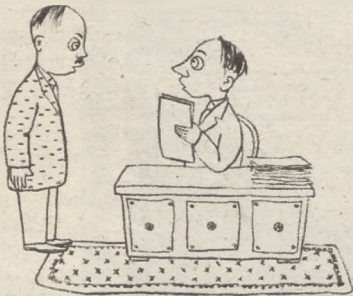
FEKETE LASZLO
Tłum. Z. G.

PREMIĘ

I

FARAGO: Obywatelu dyrektorze, tu jest sprawozdanie ze zbiórki makulatury, jaką przeprowadziliśmy. Mieliśmy w planie 36 cetnarów, zebraliśmy 46, a więc o 30 procent przekroczyliśmy plan.

DYREKTOR HUZO: Pięknie. Proszę napisać o tym raport i ustalić listę tych pracowników, którzy zasłużyli się przy zbiorce makulatury, aby, jak nakazuje okólnik,



otrzymali premie. List proszę oddać kierownikowi działu zakupów, koledze Tepo.

II

FARAGO: Kolego Tepo, to jest lista tych kolegów, którzy zasłużyli się przy zbiorce makulatury i powinni otrzymać premie.

KIEROWNIK DZIAŁU ZAKUPÓW, TEPO (przegląda listę): Dlaczego, kolego, chcesz temu Kisowi wypłacić 200 forintów. A Nagy ma otrzymać tylko 150? Nazwiska Szabo tu w ogóle nie widzę. A skąd się tu wziął Karasz?

FARAGO: No, bo Kis zebrał sam 3 cetnary, Nagy mniej pracował niż Kis, Szabo w ogóle nie brał udziału w zbiorce. No tak, Karasz też co prawda nie brał udziału, ale to doskonały piłkarz. Ostatnio strzelił trzy bramki. Myślałem, że w ten sposób będziemy mieli sposobność...

TEPO: No tak. Niech będzie. W takim razie trzeba i Minori dać na listę. On zawsze potrafi nam się wystarać o doskonały atrament do wiecznych piór. Kisowi i jeszcze komuś odbierzemy po 50 forintów. No, zanieście tę listę do inżyniera Neyso.

III

INŻYNIER NEYSO (przegląda listę): Czy nie przypuszczacie, że dla Kerekasa 150 forintów to za dużo? Dostanie 100. A ten biedny Balogh, dlaczego dostał tylko 150? Teraz właśnie rozchodzi się o żonę. Niech ma 200. Nie widzę nigdzie Sumigiego. Dajmy mu 100.

FARAGO: Ale za co?

INŻYNIER NEYSO: Bardzo porządny chłop. Dostanie 100.

FARAGO: Ale skąd weźmiemy te 100 forintów?

INŻYNIER: To nie takie trudne. O, skreślmy Bergera. Niesympatyczny typ, ledwie się kłania. No, proszę tę listę przekazać głównemu księgowemu Vago.

IV

GŁÓWNY KSIĘGOWY (przegląda listę): Żle, ten okropny, zawsze nie ogolony Papek ma otrzymać 200, a ta przystojna Huszarne ani filera. Jak to sobie wyobrażacie. Papek dostanie nie 200, lecz 100, a Huszarne też sto. A ten Gerebeu, co on takiego zrobił, że dostał się na listę?

FARAGO: Zebrał dużo makulatury. VAGO: Ale nie zajmuje się nigdy pracami społecznymi. Skreślić.

FARAGO: No, ale kogo damy na jego miejsce?

VAGO: Damy tę Szalainę... żeśmy o niej wcześniej nie pomyśleli!

FARAGO: Lecz za co Szalainę?

VAGO: Jak to, nie wiecie, ona stara się zawsze dla nas o bilety na operę. No, a teraz niech to kolega zanieś do dyrektora dla ostatecznego zatwierdzenia.

V

DYREKTOR HUZO: Nie, ta Kovacsne nie otrzyma 200 forintów. 100 jej wystarczy. Sopkezovi wystarczy 100, zamiast 150. Natomiast Daniel zasłużył na 200. Doskonały rum dostaje od szwagra. Peterfi



nie nie dostanie, bo rok temu otrzymał z mojego funduszu 100 forintów premii. Szapusek dostał teraz 500 forintów za pomysł racjonalizatorski. Ma dość, nie dostanie. No, dobrze już...

VI

MASZYNISTKA TERI (przepisuje listę premii): Nie rozumiem tylko, dlaczego ta lista nosi tytuł „Lista premii za zbiórkę makulatury“?

FARAGO: No, jak to? przecież z tych kilkudziesięciu nazwisk, które poprzednio podałem, cztery jednak zostały.

MASZYNISTKA TERI: Czysty przypadek.

KURTYNA

KONKURS NA RECENZJĘ KSIĄŻKI POPULARNO-NAUKOWEJ

Państwowe Wydawnictwo Popularno-Naukowe „Wiedza Powszechna” i redakcja „Życia Warszawy” ogłosiły konkurs na recenzję książek popularno-naukowych.

Za najlepsze prace konkursowe przewiduje się przyznanie kilkunastu nagród pieniężnych w wysokości od 2.000 do 200 zł oraz wiele cennych nagród książkowych.

Szczegółowe ogłoszenie o warunkach konkursu opublikowane zostało w „Życiu Warszawy” z dnia 15.XI.1953 roku. Na żądanie tekst konkursu wysyła PWPN „Wiedza Powszechna”, Warszawa, ul. Lwowska 13 (tel. 854-61, wewn. 35).

NOWE KSIĄŻKI

ALEKSANDER JACKIEWICZ — „Wieża Babel” (Czytelnik, str. 167, zł 7,—). „Wieża Babel” trafnie nazywa autor skupisko wszelkich narodowości, jakim stał się Berlin w ostatnich latach II wojny światowej. Na tle berlińskiej fabryki likierów ukazuje on wycinek z życia wielkiego międzynarodowego obozu bezpłatnych i przymusowo wywiezionych do Rzeszy robotników. Akcja powieści obejmuje okres ostatnich miesięcy istnienia III Rzeszy, kiedy to niedoszli władcy świata w bezsilnej wściekłości nie mogą zdławić rozwijającego się ruchu oporu. W interesujący sposób autor pokazuje pełną niebezpieczeństw i ofiar konspiracyjną walkę grupy robotników, którzy nawet w obcym kraju znajdują towaryzyszy walki o wspólną sprawę.

MARIAN BRANDYS — „Spotkania włoskie” (Czytelnik, str. 140, zł 2,40) — zbiór szkiców reportażowych z Włoch, gdzie autor jako dziennikarz przebywał przez kilka miesięcy 1949 roku. Obraz upadku oraz ruiny gospodarczej i kulturalnej zmarszczanego kraju, wstrząsanego potężnymi konfliktami socjalnymi, nie stracił nic na swej aktualności. Brandys daje celną charakterystykę rzymskiej burżuazji, zapędzonej w ślepej uliczce przez amerykański kapitał, żyjącej w ciągłej trwodze przed narastającym ruchem rewolucyjnym.

JERZY KALINOWSKI — „Stawka na błąd” — (MON, str. 115, zł 3,60) — Treścią tej ciekawej książki jest walka naszego wywiadu z bandą „Skorpion”, skierowaną do Polski w celach dywersyjno-szpiegowskich. Walka kończy się całkowitą porażką bandy. Główny bohater książki, plutonowy Stępień, dochodzi do przekonania, że umiejętność milczenia o sprawach służbowych jest jednym z podstawowych obowiązków żołnierza — czytelnik książki widzi natomiast, że powinnością każdego obywatela Polski Ludowej jest ustawiczna czujność wobec wroga. Zajmująca fabuła, jasny i zwarty styl powodują, że „Stawkę na błąd” czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem od pierwszej do ostatniej strony.

GUSTAW MORCINEK — „Wyorane kamienie” (Czytelnik, str. 273, zł 11,—) — Książka ukazująca warunki życiowe robotników śląskich w Polsce przedwojennej w okresie szalejącego bezrobocia. Głównym jej bohaterem jest nauczyciel szkoły powszechnej, Kaleta, syn górnik z Ligoty. Powieść stanowi wstrząsający obraz nędzy ludu śląskiego oraz bezwzględnych często wysiłków postępowego nauczyciela, które chciało wydrzeć dzieci robotnicze spod wpływu ulicy. Autor w przedmowie stwierdza, iż książka jego jest „bolesnym oskarżeniem przedwojennych stosunków na Górnym Śląsku, a również wyznaniem wiary w nowego człowieka w Polsce i wiary w nową sprawiedliwość społeczną”.

Droży Czytelnicy!

JESZCZE O „ŚWIECIE”

Cennym dla redakcji dowodem zainteresowania Czytelników naszym tygodnikiem są napływające w dalszym ciągu uwagi krytyczne, które świadczą o tym — jak to wyraził jeden z korespondentów — że „nic co w „Świecie” nie jest nam obojętne”.

A oto kilka uwag i spostrzeżeń z nadesłanych ostatnich listów pod adresem działu „Droży Czytelnicy”:

„Świat jest piękny mimo istnienia na nim hien i szakali (nie tylko czworonożnych) i „Świat” jest piękny, mimo niektórych braków.

Świat jest wielki, ale „Świat”, chociaż zawiera 24 strony tekstu, jest za mały, żeby objąć na swych łamach wszystkie zagadnienia interesujące ogół czytelników.

Cóż więc robić, żeby zaspokoić zainteresowania wszystkich czytelników? Moim zdaniem, należy powiększyć ilość stron pisma przynajmniej o 1/3, nie zmniejszając formatu, który jest najważniejszy dla tego rodzaju pisma.

Jestem pewny, że prenumeratorzy i czytelnicy zdają sobie sprawę z konieczności posiadania dobrego pisma polskiego i wiedzą, że dotychczasowa cena „Świata” w prenumeracie (i nie tylko w prenumeracie) jest bardzo niska. Nikt więc, przypuszczam, nie zaprotęstuje, gdy przy zwiększeniu ilości stron podniesiona będzie odpowiednio cena pisma. Konieczność podwyższenia ceny jest tym bardziej potrzebna, że należy dążyć do ulepszenia szaty graficznej pisma. Przede wszystkim należy drukować „Świat” na lepszym papierze. Następnie, „Świat” powinien nareszcie pomyśleć o tym, żeby upiększać swe łamy ilustracjami kolorowymi. Powinien również zamieszczać reportaże naprawdę z całego świata, żeby usprawiedliwić swą nazwę. Wreszcie powinien „Świat” zwrócić baczniejszą uwagę na dział historyczny. Tyle bowiem istnieje niejasności dla szerokiego ogółu czytelników jak się naprawdę kształtowały nasze dzieje, że należy go systematycznie uświadamiać, zamieszczając obszerniejsze monografie.

Pomijam na razie inne sprawy, poruszane przez czytelników, sądząc, że zbliżający się okres noworoczny wymaga przede wszystkim rozstrzygnięcia kwestii prenumeraty. Łączę wyrazy poważania i uznania za dotychczasową pożyteczną pracę.”

Jan Niewęgliński

Wydmyny, powiat Głizycko, ul. Szkolna 5

„Jako stały czytelnik „Świata” i kolekcjoner mam prawo prosić, aby jego format uległ zmianie, t.j. z obecnego przekształcił się w format i objętość tak jak „Problemy” — to stanowi duże ułatwienie w czytaniu i kolekcjonowaniu.

Jako filatelista proszę o rozszerzenie tego kąca do większych rozmiarów, włączając trochę pewnych dokumentacji odnoszących się do tej dziedziny, oraz o podawanie wszystkich nakładów wydawanych u nas znaczków pocztowych.

Jako sympatyk damskiej, choć skromnej, mody, proszę o nie zapomnianie o pici brzydkiej.

Ten tygodnik, jako informator ze świata, posiada trochę za skromną kronikę światową.”

Marian Koempa

Plastów, Plac Zgody 3

„Od pierwszego numeru jestem zapalonym czytelnikiem „Świata”. Czytam go „od deski do deski”. Zauważyłem jednak, że bardzo mało pisze o naszym Śląsku, o kopalniach, hutach i koksowniach. Jako pracownik jednej z największych koksowni polskich, bardzo interesuję się zdobycami innych zakładów. W prasie codziennej spotykam się jedynie z suchymi cyframi wykonania planu. Plan wykonują ludzie, którym należy pomagać, zapoznając ich ze zdobycami i osiągnięciami innych. To ułatwia pracę. Śląsk jest i teraz kuznią, w której buduje się nowa, lepsza Polska. Nie można więc zapominać o nim i w Redakcji „Świata”.

Mogę podzielić się z Wami dobrą nowiną. Zakład nasz systematycznie wykonuje plan i to z nadwyżką, dochodząc do 104% w produkcji koksu hutniczego.”

mgr Jerzy Chmielewski

Zakłady Koksownicze „Walenty”

PAPIEROSY „DAR”

W odpowiedzi na zamieszczony w Nr 44 „Świata” (z dn. 1.XI. br.) list Czytelnika, R. Kosińskiego z Warszawy, otrzymaliśmy od Dyrekcji Centrali Wyrobów Tytoniowych następujące wyjaśnienie:

„W związku z notatką prasową p.n. „Kto daje i odbiera”, zamieszczoną w tamt. Czasopiśmie Nr 44, z dn. 1.XI.53 r. Centrala Wyrobów Tytoniowych wyjaśnia, że pap. „Dar” zostały wyprodukowane i oddane do sprzedaży w ramowej ilości, jako okolicznościowe z okazji święta 22 Lipca. Papierosy te więc można było nabyć zarówno w kioskach jak i sklepach tylko do wyczerpania się zapasów”.

Dyrektor CWT

M. GDANSKI

Nie widzimy żadnych przeszkód, by papierosy, wypuszczone pierwotnie na rynek jako „okolicznościowe”, nie miały wejść na stałe do asortymentu produkowanych wyrobów tytoniowych. Skoro papierosy „Dar” zjednały sobie uznanie palaczy, należy je po prostu produkować dalej. Byłoby to zupełnie zgodne z duchem uchwały IX Plenum KC PZPR o podwyższeniu jakości i rozszerzeniu asortymentu artykułów konsumpcyjnych. Nie wątpimy, że CWT zrewiduje swą poprzednią decyzję i papierosy „Dar” pojawią się znowu w sprzedaży.

„ŚWIAT”

FRASZKA

SAMOKRYTYKA W SZYLDZIE

Na jakość konfekcji z działu damskiej mody
Nie warto pisać satyr, ani dłuższej ody,
Tylko szyld by dać warto, ot z napisem takim:
„Brako-Robes-Modes” — czyli: „Modne braki”

MAGDALENA SAMOZWANIEC



TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wileńska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

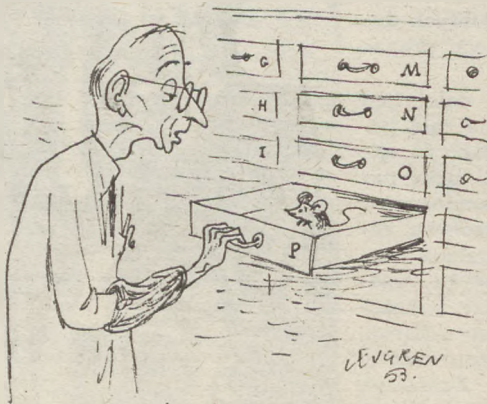
Zakłady Wkłódnokowe i Introligatorskie RSW „Prasa”

Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 728. Papier rotogr. V/80-82 cm. — 4-B-22301

Podpisano do druku dnia 18.XI.53.

LENGREN



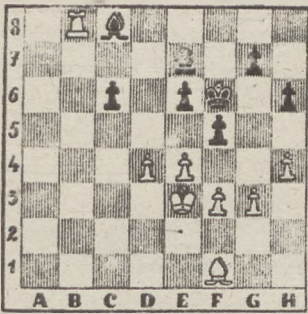
— Co za bałagan! Powinna być pod „M”.

SZACHY

MECZ SZACHOWY „ŚWIAT” — CZYTELNICY

W partii W1 Czytelnicy nie byli zdecydowani, czy zagrać 43... f:e4, czy też 43... Kf6. Niewielką większością głosów zwyciężyło ostatnie posunięcie.
W partii W200 wszyscy — rzecz jasna — Czytelnicy zabili gońca na c3.
Po uwzględnieniu kolejnego posunięcia Redakcji partie należy wygłądać następująco:

PARTIA W1



42. Kg1—f2 f7—f5
43. Kf2—e3 Kg6—f6
44. h2—h4

PARTIA W200



42. Wb7—b6+ Ke6—e7
43. Gd4:c3 b4:c3
44. Ke3—c3

Przypominamy, że odpowiedzi na 44 posunięcie Redakcji należy wysłać najpóźniej we wtorek 24 listopada br.

PARTIA Nr 85

grana w XVIII rundzie „Turnieju Kandydatów” w Zurichu

Królewsko-indyjska w ataku
Białe: W. Smysłow (ZSRR)
Czarne: Dr M. Euwe (Holandia)

1. Sg1—f3 Sg8—f6 2. g2—g3 d7—d5 3. Gf1—g2 Gc8—f5 4. 0—0 Sb8—d7 5. d2—d3 c7—c6 6. Sbi—d2 h7—h8 7. e2—e4!

Białe ofiarowują pioną, aby uzyskać przewagę w rozwoju.
7... d5:e4 8. d3:e4 Sf6:e4 9. Sf3—d4 Se4:d2 10. Gc1:d2 Gf5—h7

Lepsze było odejście gońcem na g6.
11. Gd2—c3 Hd8—c7 12. Hd1—f3 e7—e5 13. Wf1—e1 0—0.
Czarne zdobyły zroszować bez strat materialnych, ale nacisk na ich pozycję nie zmalał.

14. Sd4—b3 f7—f6 15. Gc3—a5 Sd7—b6.
15... b6 osłabiłoby bardzo pozycję czarnego króla.
16. c2—c4 Wd8—d3.
Większe szanse obrony dałoby czarnym 16... e4.

17. Hf3—h5 Hc7—e7 18. Gg2—f1 g7—g6 19. Hh5—e2 Wd3—d7 20. He2—e3 Kc8—b8.
Czarne godzą się chętnie oddać zarobionego w otwarciu pioną, byleby po 21. G:b6 a:b6 22. H:b6 Hb4 wymienić parę groźnych figur przeciwnika.

Białych jednak nie zadowala taki obrót sprawy.
21. Wa1—d1 Sb6—c8 22. Gf1—h3 Wd7:d1 23. We1:d1 f6—f5 24. Ga5—b4! He7—f6.
Oczywiście nie 24... H:b4 25. H:e5+.
25. Gb4—c3 Gf8—g7 26. Sb3—c5 Kb8—a8.



Pozycja po 26... Kb8—a8

27. Sc5:b7!
Efektowne i niespodziewane uderzenie!
27... Ka8:b7 28. Wd1—d7+ Kb7—a8 29. He3—c5!
Pionta ofiary skoczka. Teraz grozi między innymi 30. Gg2.

29... Sc8—b6.
Lub 29... Gf8 30. Ha5 Gd6 31. Ha6!
30. Wd7:g7! Hf6:g7 31. Gc3:e5 Hg7—d7.
Trzeba bronić pioną c6!

32. Gc5:h8.
No i koniec końców pioną więcej mają białe! Kończącą część partii przeprowadza Smysłow z właściwą sobie nienaganną techniką.

32... Ka8—b7 33. Gh8—d4 Hd7—e6 34. Gh3—f1 Gh7—g8 35. b2—b3 f5—f4 36. a2—a4 f4:g3 37. h2:g3 Gg8—f7 38. a4—a5 Sb6—c8 39. Gf1—g2 He6—d6 40. a5—a6+ Kb7:a6 41. Gg2:c6 Hd6:c5 42. Gd4:c5 Sc8—b6 43. Kf1—f1 Gf7—e6 44. Kf1—e2 Sb6—d7 45. Gc5—d4 Ka6—a5 46. Gd4—c3+ Ka5—b6 47. Gc6—e4 g6—g5 48. Gc3—d4+ Kb6—a5 49. Gd4:a7 Ka5—b4 50. Gc4—c2 Kb4—c3 51. Gc2—d1 Sd7—e5 52. Ke2—e3 Se5—c6 53. Ga7—b6 g5—g4 54. Ke3—f4 h6—h5 55. Gb6—e3 Sb6—a5 56. Kf4—e5 Ge6—c8 57. c4—c5 Sa5:b3 58. Gd1—e2 Sb3—a5 59. Ge2—b5 Sa5—c4+ 60. Ke5—f4 Sc4:e3 61. f2:e3 Kc3—b4 62. Gb5—e8 h5—h4 63. g3:h4 Kb4:c5 64. h4—h5 g4—g3 65. Kf4:g3 Kc5—d5 66. h5—h6 Gc8—f5 67. Kg3—f4 Gf5—h7 68. Kf4—g5 i czarne zrezygnowały z dalszej walki. Piękna partia!



Suknia „racjonalizatorska” nadająca się idealnie do biura, lub podróży. Szerokie fałdy boczne zapinamy z przodu, kiedy siadamy; wstając — przekładamy fałdy na tył, zasłaniając wygniecenie



Suknia letnia — „chłopka”, z milanowskiego jedwabiu naturalnego w kolorowe paski. Pantofle i kapelus z rajli, naszyjnik bursztynowy

TANIO i ŁADNIE

W poprzednim numerze „Świata” kolektyw robotników z Zarowa, pow. Świdnica — dość ostro skrytykował nasz dział mody, m. in. pisząc: „...ładnie to ładnie — ale nie tanio...”

Krytyka była o tyle słuszna, że odzież, przez nas pokazywana, w ogromnej większości rzeczywiście nie była dość tania, chociaż staraliśmy się wybierać modele proste,

które można z najtańszych materiałów szyć „sposobem domowym”.

Oczywiście, naprawdę tania może być tylko gotowa konfekcja, produkowana fabrycznie. Jak wiemy, do tej pory nasz przemysł konfekcyjny nie umiał sobie poradzić ani z jakością produkcji, ani z estetyką wzorów, ani z asortymentem fasonów. Gotowa konfekcja absolutnie nie odpowiadała wzrastającym

potrzebom masowego klienta — zalegając magazyny, w okresie kiedy możliwości nabywcze ludzi pracy stale wznosiły.

Ta nienormalna sytuacja nie potrwa długo. W najbliższym czasie będziemy mieli tanie i ładne materiały oraz tanie i ładne fasony gotowej odzieży.

Wielokrotnie w dziale naszym pisaliśmy o działalności Instytutu Wzornictwa Przemysłowego i Centrali Przemysłu Artystycznego. M. in. pisaliśmy o trudnościach, jakie miały te instytucje w swoich dążeniach do współpracy z przemysłem lekkim. Obecnie, w myśl wytycznych IX Plenum, instytucje te jak najściślej będą współpracowały z przemysłem, a owoce tej współpracy w najbliższych miesiącach ujrzemy w witrynach sklepów spożywczych.

Modele, które pokazujemy w dzisiejszym odcinku naszego działu są całkowicie (projekty tkanin, wzorów, projekty fasonów) dziełem Instytutu Wzornictwa Przemysłowego i Centrali Przemysłu Artystycznego. Były one demonstrowane na Targach w Lipsku, gdzie odniosły duży sukces.

Oczywiście, pokazujemy tylko część modeli, do innych jeszcze powrócimy (z uwagami krytycznymi włącznie). Przy okazji z satysfakcją odnotowujemy, że Instytut Wzornictwa i CPLiA rozpoczęły cykl dyskusyjnych rewii mody w ośrodkach robotniczych i wiejskich. Pierwszy taki pokaz odbył się 8 bm. w Domu Kultury w Wilanowie.

Suknia plażowa z białego lub kolorowego płótna bawełnianego. Na ulicę wkładamy zakieciak z tego samego materiału. Torba i pantofle zdobione wzorem ludowym.



ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 112

Krzyżówka. Poziomo: Białogard, mandolina, brokat, generał, browar, Tula, pierwotniak, brom, zwrotniki, skrawanie, etap, cyna, postronak, płaszcz, nota, L. paryskie, sowa, wiadro, gonitwa, wai-za, marmelada, pieczarka. Pionowo: Bułgar, toga, Nida, talary, Mirosława, przedruk, zapalniki, Antwerpia (miasto w Belgii a nie w Holandii, jak omyłkowo podano), epos, Mameapolis, Kanaryjskie, ko-

perta, padalec, kontrabas, metaloidy, klusownik, rykowi-alka, tyki, Aryman, salata, alka, ocet.
Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 112 nagrody książkowe otrzymują:
A. Adamowicz — Grondy, J. Bereźnicki, Z. Podolczak, J. Skomski, J. Wiśniewski — Poznań, M. Budzyński, R. Górkiel, A. Jasińska, L. Kaniewska, W. Strus, A. Świeca, A. Tur, J. Żelazkie-

wicz — Warszawa, H. Kotarak — Leszno, D. Niemcow — Rielsko, I. Ostromecki — Kar- czew, R. Sikora — Rudnik, J. Tworzeński — Jelenia Góra, I. Winiecka — Łódź, Z. Zabiegaj — Kraków.

Nagrodę autorską za zadanie w nr. 112 otrzymuje W. Miegala z Częstochowy.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie odbioru.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 113

Krzyżówka. Poziomo: Szka-kał, Milet, parada, amulet, oberek, tapir, patos, Kamil, sto, etyl, Rodos, kark, Rut, barok, dolar, Zuber, pole, tatarak, minimum, etat, galon, Sanok, Samos, mat, Amor, kogut, ramy, kór, bulat, Homer, Fabat, zatoka, mimosa, etalon, ranek, narada. Pionowo: stoper, apetyt, Karol, Ares, lak, matador, łapis, Emil, tur, neutra, batuta, smok, kurek, salem, okrom, rabat, Kolin, burak, donos, zator, pilot, ta-

sak, tenor, mamut, ulamek, gagatek, Amicia, Sola, mamon, tyrada, kulan, rotor, baza, hala, for, Zan.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 113 nagrody książkowe otrzymują:

J. Cwikliński — Gdynia, I. Danielak, J. Ginsberg, A. Salm — Łódź, W. Findlik — Syców, B. Karpinski — Legionowo, E. Kondrat — Kraków, S. Łukacz — Sopot, J. Majewska — Brwinów, H. Melosik — Swa-

rzędz, J. Patysiewicz — Wzdół Rządowy, A. Pogorzelski — Chorzów, J. Rogala — Dąbrowa Górnicza, M. Bakiewicz — Leńbork, Z. Sobiczewski — Kutno, K. Strusiewicz — Goleśzów, K. Wegierski — Jelenia Góra, R. Wojdaliński — Staliność, S. Zelder — Siemianowice, C. Wawrzyniak — jedn. wojsk.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie odbioru.

ZAWSZE...



CAF

z prawdziwą przyjemnością ogolisz się, jeśli stosować będziesz krem do golenia „URODA”. Obłita, nieschnąca piana idealnie zmiękcza zarost, a przyjemny zapach jest dopełnieniem niezrównanych walorów tego kremu.



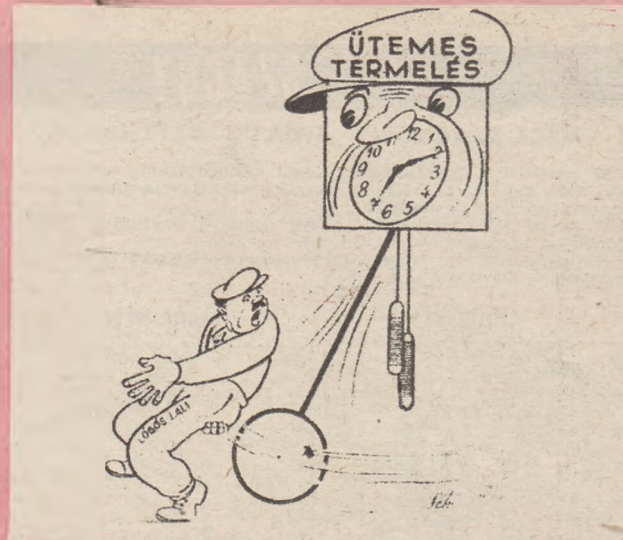
SATYRA WĘGIERSKA

Kpiarz, wesołek i równocześnie odważny mściciel krzywd chłopskich — ludas Matyi (po polsku — gęsiarek Maciek) jest ulubionym bohaterem wielu węgierskich opowieści ludowych, a od niedawna i — filmu.

Imię śmiałego gęsiarka przejął jako tytuł, wy-

chodzący na Węgrzech od roku 1945, tygodnik satyryczny „Ludas Matyi”.

W tygodniku piszą wybitni literaci węgierscy: Szilard Darvas, György Mate, Bela Gador, Laszlo Tabi, Albert Vaida i wielu innych. Rysują: Kasso, Gerö. Schwatf, Szür, Vasvari i Palyijeno.



rys. Schwatf

Bumelant — Pierwsze uderzenie

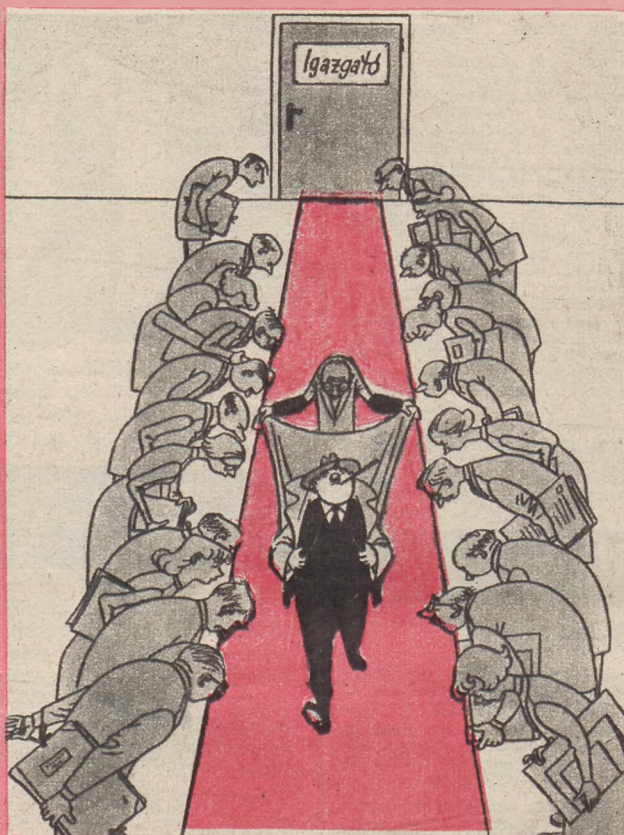
POLITYKA ZAGRANICZNA USA
czyli
SŁOŃ W SKŁADZIE PORCELANY



rys. Szür

John Bull: Trzeba go będzie jeszcze szczenić, bo on znowu po swojemu gospodaruje.

Dyrektor...



...idzie

ZGRZYTY W CHÓRZE ONZ

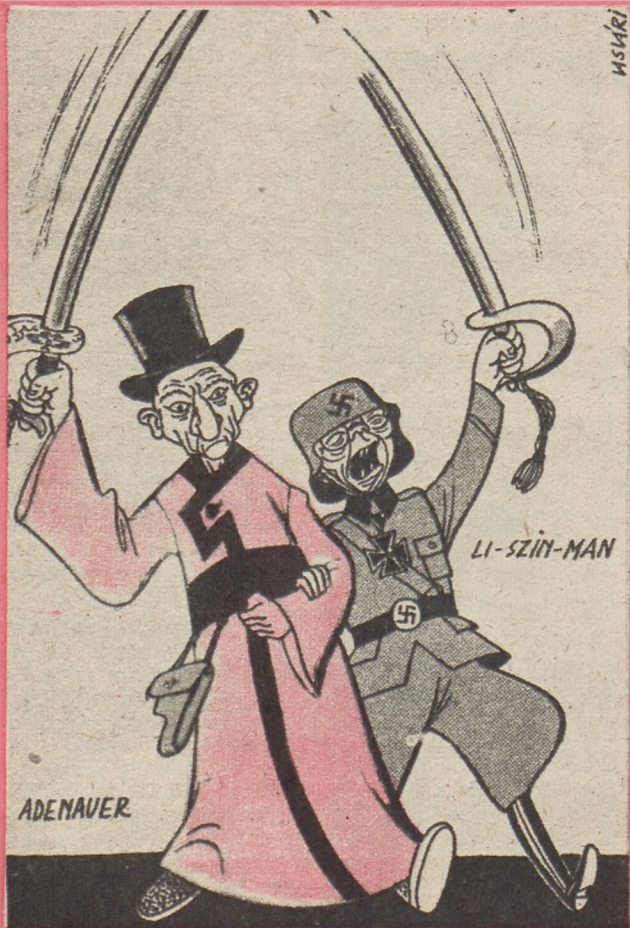
(USA już nie panuje całkowicie nad maszyną do głosowania)



rys. Szür

— Cóż to? Fałszujecie mój głos!...

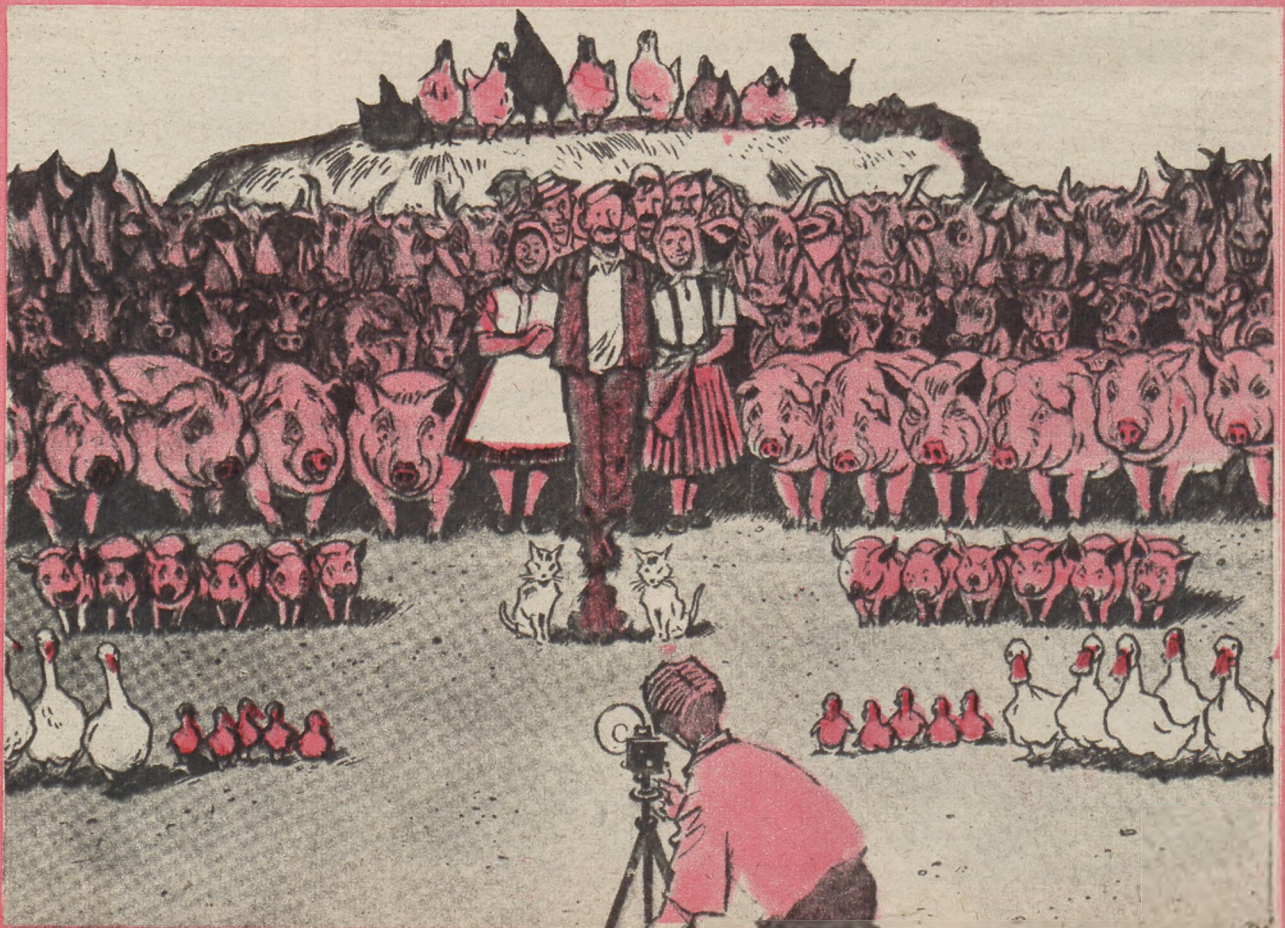
DWÓCH PROWOKATORÓW



rys. Vasvari

Adenauer — Li Syn-man Europy i Li Syn-man —

PROSZĘ SIĘ UŚMIECNAĆ



rys. Palyijeno

Zdjęcie wykonane po trzech latach istnienia spółdzielni